



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POSTACIE NIEWIEŚCIE

TASSA

(Jerozolima wyzwolona)

przez

Helene Ceysynger.

Poezya całego świata daje nam jeden, wieczyste jeden, wizerunek kobiety: kobietę-kochankę. Stary Homer stworzył Helenę, Andromachę, Penelopę, Dante—Franceszkę, Szekspir—Ofelię, Desdemone, Goethe—Małgorzatę, Dorotę, Klarę, Schiller cały zastęp czułych albo namiętnych kapłanek miłości.

Byron dla kobiet ma tylko przekleństwa za niewierność i zdradę, a również i nasi najbardziej natchnieni poeci, idąc za prądem ogólnym, u boku wielkich bohaterów swoich mało postavili dorównujących im niewiast. Zawdzięczamy im Marylę, Zosię, Aldonę, Elsinoe i Kornelię, Amelię Laure, Julię. Potężnie odbija się od nich jedna tylko Rosa.

Poezya dotychczas niechętnie wytwarza postacie, któreby aureolę wielkiej jakiejś idei, nie zaś drobnej ziemskiej miłości, nosiły nad czołem.

Antygona, Grażyna, Kordelia, Poreya—wyróżniają się wprawdzie w tym chórze łzami zalanych, usychających z tęsknoty, miłością drżących duszyczek niewieścich,—ale i im blasku wyższości, przysnać niepodobna.

Czyżby w życiu brakło bohaterkich, podniosłych postaci kobiecych?

Historja podaje fakta sprzeczne z takim poglądem na rzeczy. Widział świat męczennice wiary,

widział bohaterki idei, widział dusze kobiece, umiejące myśleć, czuć, kochać i cierpieć całą głębią człowieczeństwa.

Więc chyba przyczyn tego szczególnego zjawiska, tej niesłusznej jednostronności, szukać wypadnie w faktach, że dotąd twórcami poematów i tragedji byli jedynie prawie mężczyźni, i kobieta w roli kochanki wydawała im się najpoetyczniejszym, najbardziej uroczym kwiatem, jaki na niwie swej twórczości zerwać mogli.

Znalazł się przecież człowiek, któremu kobieta usuwająca na drugi plan swoje osobiste uczucia, kobieta robiąca ofiarę z życia i młodości dla dobra drugich, wydała się piękniejszą od namiętnego, bezmyślnego stworzenia, które poza ukochanym mężczyzną nie ma innych miłości i innych wiar, nie żyje wcale odrębnym życiem ducha. Człowiekiem tym był poeta włoski Torquato Tasso, urodzony w r. 1554, zmarły w 1595 r. Kobiety jego—to nie sentymentalne bohaterki Schillera, to nie naiwne, lub namiętne, namiętne lub zimne, przeklinane lub błogosławione dziewczątka i kobiety naszych poematów. Spotykamy u niego w kształty kobiece zakłete, wielkie dusze marzycielskie, ofiarne, charaktery silne i samoistne. Już z tego względu stoi on na zupełnie odrębnym stanowisku w długim szeregu wieszczów.

Co prawda, przysnać trzeba że epoka, narodowość, nawet osobiste przejścia dostarczyły mu obfitego materiału do porównań, badań, prób i zmusiły niejako do wytworzenia sobie takiego a nie innego pojęcia o kierunkach myśli i uczucia kobiety.

We Włoszech oddawna występowała kobieta na arenę spraw publicznych, była jednostką społeczną, jeśli nie *de jure*, to *de facto*.

Średniowieczne ustawy obyczajowe, ograniczające sferę jej działalności do kądzieli i haftu, można powiedzieć: nie istniały tam nigdy. To też, mając otwarte pole do wszechstronnego rozwoju swej indywidualności, kobieta w kraju tym,

w epoce Odrodzenia wybujała raz w ideał, raz w potworność. Od Lukrecyi Borgia do Wiktoryi Colonna całą skalę różnorodnych typów kobiecych przedstawia nam historia pięknej Italii. Poeta miał w czem wybierać. Nadto, rzucony na dwór jednego z licznych w owym czasie mecenasów sztuk i literatury, otoczony towarzystwem kobiet niepospolitych, o gustach wykwiutnych, o namiętnościach wyrafinowanych, unieszczęśliwiony sam, o ile wiemy, miłością ku jednej z tych arystokratek ducha i rodu, przeszedł on osobiście niby szkołę, w której teoretycznie i empirycznie poznano mu dano cały świat pojęć, fantazyje, pragnień i poryków ducha kobiecego.

Owoce tego doświadczenia i zarazem odbiciem rzeczywistości, jaką przed poetą stawało samo życie, są postacie Sofronii, Kloryndy, Erminii, Armidy.

Przypatrzmy się bliżej tym kobietom stworzonym przez wyobraźnię włoskiego poety.

I.

Sofronia.

Strach padł na ludność chrześcijańską w Jerozalemie. Sultán Aladyn, wściekłym uniesiony gniewem, wysłał wiernym swym rozkaz wytopienia ogniem i żelazem zdradliwych gjaurów. Gniew króla uzasadniony, bo oto tłumy łacińskich Krzyżowców od murów miasta już nie daleko! Aladyn, stary, przezorny wojownik, oddawna czyni na ich przyjęcie wszelkie przygotowania, jakie mu rozum i długoletnie doświadczenie dyktują; ale przecucie mówi mu, że wszelki opór daremny, więc i czarnoksiężstwem nie gardzi, byle tym zastępom ożywionym natchnieniem z nieba przeciwstawić także jakąś siłę duchową. Z radą narzucił mu się Izmen, potężny czarownik, renegat chrze-

ścijskiej wiary, dziś gorliwy sługa sług Mahometa.

Obraz Matki Bożej, uniesiony z podziemnej kaplicy i zawieszony w meczecie, ma Mahometanom zapewnić zwycięstwo.

Alieci nazajutrz straż pilnująca obrazu dostrzegła z przerażeniem, że wśród nocy zniknęła.

Czy go pobożni wyznawcy wykradli, czy moc Boża dokonała cudu? pozostaje nierozstrzygniętą zagadką — powiada poeta.

Winowajcy odszukać nie sposób; więc aby winny nie uszedł kary, niechaj giną wszyscy!

Taki jest wyrok okrutnego króla, a wyrok to niezbłagany i niema, zda się, ratunku, bo któżby ośmielił się wstawić za potępionym i kto ich obrońcę, kto wyłomaczyć potrafi?

Żył wówczas pomiędzy ludem chrześcijańskim Jerozolimy dziewica wzniosłego umysłu, niepospolitej piękności i „di gia matura verginita“, co po prostu znaczy: nie pierwszej młodości.

Czytelnikowi przyzwyczajonemu do innych ideałów zabrzmi to może jak dyssonans; starego Tassa to nie razi.

Dumna piękność, ukryta w zaciszu domowym, unikająca pochlebstw i hołdów, rzadko kiedy wdzięki swego oblicza na spojrzenia ludzkie wystawiając.

Alé gdzież się miłość nie wciśnie?!

Olindo, młodzieniec, dziecko prawie, rozgorzał miłością ku pięknej Sofronii.

„Jak ona piękna, tak on był nieśmiały. Pragnął wiele, spodziewał się mało, nie żądał niczego. Ona albo go lekceważy, albo nie widzi, albo się obecności jego nie domyśla.“

Tak subtelnie zarysowawszy ten romans, przychodzi poeta do tragicznego momentu.

Do uszu Sofronii doszła wieść o straszliwych zamiarach Aladyna, i natychmiast wyniosły duch kobiety zapragnął kosztem własnego życia ocalić lud swój od zagłady.

— Przychodzę, panie—rzecze, stanąwszy przed królem—wyjawić ci tajemnicę i oddać w ręce twe zło czynię, którego poszukujesz, a tymczasem, proszę, usmierz gniew i powstrzymaj rozlew krwi.

— Mów! — odpowie król — polecę, by ludowi twemu nie stała się krzywda.

— Złoczyńca, panie, stoi przed tobą. Ja! to obraz zabrałam: ja niechaj karę na siebie ściągnę!

Król zapytuje ją o współników i doradców.

— Nie chcę się z nikim dzielić sławą moją.

Sama powzięłam zamiar i wykonałam go sama.

— Sama też poniesiesz karę — odpowie król i skazuje dziewicę na śmierć w płomieniach.

Gdy piękne ramiona wiązano haniebnym powrozem, nie błądosię trwogi, ale rumieniec niewieściego wstydu wystąpił jej na lica.

Zgromadził się lud na ponure widowisko, przybiegł i Olindo. W skazanej chrześcijance poznaje ukochaną; bieży więc do króla i oskarża siebie o zniszczenie obrazu, dowodząc, że Sofronia niewinna, że kobieta nie byłaby w stanie rzeczy podobnej dokonać i tylko szaleńcem opętana bierze tę winę na siebie.

„Wzniosła Sofronia wzrok i litośnie

„Okiem spółczucia spogląda nań.

„Niewinne dziecię, gdzie dążysz śmieje?

„Dokąd cię wiedzie obłądny szal?

Cudowna w swej hardości odpowiedź dziewicy brzmi dalej:

Czym ja bez ciebie nie dość potężna,

By znieść jednego człowieka gniew?!

Kwiatem męczeństwa ja się nie dzielę!

W piersi mi starczy siły na śmierć! \*)

Ale nie takie jest zdanie Aladyna. Oskarżają się oboje: niechże więc życzeniom obojga zadość się stanie. Poniosą śmierć razem.

\*) Niezupełnie wierny przekład tych ustępów i odstąpienie od formy zehee czytelnik wybaczyć. Mysł poety starano się wszędzie jaknajwierniej odtworzyć.

(P. Antorki).

Olindo skrepowany, przywiązany do jednego pala z ukochaną, gdy ogień zaczyna ogarniać stos, wybucha namiętną, żalną skargą:

Takiż jest węzeł, którym marzyłem

Złączyć się z tobą na życia sen?!

To jest ów płomień, o którym śniłem,

Że spali duszę miłości tehem?!

Inne pożary miłość wróżyła,

Inne nam daje złowrogi los itd.

Posłuchajmy i tym razem odpowiedzi Sofronii:

Bracia, wznioślejszych niechaj skarg płaczem

Ta uciśniona wybuchnie pierś!

Czemu na winy nie wspomnisz swoje

I na nagrodę za święty czyn?!

Cierp w imię Pana! Słodką katasza,

Weselny będzie do nieba wstęp.

Patrz w rozmodlony błękit bez zmazy,

I w słońca blaski złociste, patrz!

Wzruszony jej słowami, płacze dokoła stosu lud mahometański. Ciszej, choć boleśniej, płaczą chrześcijanie: w srogiej piersi króla dziwne jakieś wzbierają uczucia

A stos dymi i krwawe płomienie zaczynają biedzić ku górze.

W tem rycerz konny ciśnie się do króla, rozpychając tłum, który z uszanowaniem przed godłem widniejącym na hełmie ustępuje.

Godło to sławne, przez Kloryndę w boju używane. I tu zapoznajemy się z drugą wysoce oryginalną i wdzięczną postacią niewieścią Tassa. Zanim jednak przypatrzymy się bliżej pięknym, choć surowym, jej rysom pozostawmy jeszcze przy umierającej na stosie.

Wstawiennictwu Kloryndy Olindo i jego ukochana zawdzięczają swoje ocalenie.

Aladyn nie może odrzucić prośby słynnej heroiny i skazuje oboje na wygnanie.

Klasyeczny spokój eposu nie pozwalał, jak się zdaje, na silniejsze udratyzowanie tego epizodu, który sam w sobie jest skończoną całością a zyskałby wiele na tragiczniejszym zakończeniu. Co do samej Sofronii, nie mylimy się chyba, twierdząc, że z podobnym ideałem kobiety, nietylko w naszej, ale i w całego świata poezji spotkać się nie łatwo.

Tylko Biblia w nieporównanym majestacie swoich poetycznych kreacji dosięga takich wyżyn ludzkiego ducha.

Utrzymują niektórzy, iż pierwowzorem Sofronii była dla poety Leonora d'Este. Jeżeli to mniemanie nie jest czechem urojeniem biografów i komentatorów, to jakiegokolwiek byłyby winy tej kszężniczki, cześć jej za to, iż umiała natchnąć zakochanego w niej pieśniarza takim wysokim pojęciem o duchu, o poświęceniu kobiety—cześć wieszcowi, który wysnuł taki ideał. W świetle płomieni ofiarnych Sofronia widnieje nam zdala jak jasny posąg myśli, wzbijający się wysoko nad pospolitość zwykłego typu kobiety żyjącej tylko miłością i dla miłości.

## Ze smutnych piosnek.

...Myślę o tobie

Codzień, gdy słońce na niebios lazurze

Zza widnokręgu złotą skroń wynurza,

I ze snu budzi zapłakane róże,

I operlone rosą złoci wzgórze,

Całemu światu płonąć ku ozdobie...

Myślę o tobie!

Myślę o tobie,

Gdy lazur ciemne zasępiają chmury,

Z obłoków strugi spływają deszczowe,

Zdala huk gromów dochodzi ponury,

A słońce w chmurach złotą chowa głowę

I ziemię w smutnej zostawia żałobie ..

Myślę o tobie!

Myślę o tobie,

Patrząc na niebo, pokryte gwiazdami,

Słuchając szeptów tajemniczych ziemi...

Ach! w takie noce myśmy nieraz sami

We dwoje usta szeptali drżącemi!

Dzisiaj sam błądząc o północnej dobie,

Myśląc o tobie...

Myślę o tobie

Wiosną i latem, w każdej roku porze,

We dnie i w nocy, o każdej godzinie,

I tylko w duchu smucę się i trwożę,

Że tak me życie samotnie przeminie,

Aż wreszcie smutny w zimnym legnę grobie

Z myślą o tobie...

Selim.

Komorna — Sierpień — 1892 r.

## M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Przestał go nagle obchodzić cały świat i wie tylko tyle, że mu się spać chce, że się z nim stało coś takiego, jak np. z harfą, która spadła na ziemię z brzękiem i wszystkie struny z kółków się pospuszczały.

Papierosa trzyma w zębach, ale go nie pali, tylko żuje mundsztuk i zapada w jakiś stan pół-snu, pół-jawy, majaczy mu się coś niewyraźnego, ziewa i zaczyna drzemać.

Stanowczo, życie jest najprzyjemniejsze we śnie a dobre łóżko najwygodniejszym miejscem na świecie. Gajski sobie to już tyle razy powiedział i nie na żarty rozmyślał, czyby nie można się tak urządzić, aby wcale z łóżka nie wstawać.

Bo i po co?... kiedy się jest człowiekiem wolnym, swobodnym, nie mającym żadnych zajęć i obowiązków, tak mało wymagającym od świata i od ludzi, nie ma się nawet celu wyłączenia z pod koldy.

Jest przecież od tego Anastazy, aby był koniecznym łącznikiem takiego życia zcentralizowanego w łóżku i doprowadzonego do minimum a światem zewnętrznym.

— Minimum życia!—oto jest szczyt praktycznej filozofii,—do której Gajskiego doprowadziły rozmyślenia nad sobą samym i nad rozmaitemi kwestyami,—wszystko inne to tylko niepotrzebny trud, dystrakcja, bezcelowe szamotania się, strępienie nerwów, przelewianie z pustego w próżne, praca Penelopy, przykrości zawodów i zużywanie sił.

Bezgraniczna, szara apatya byłaby czemś najlepszym ze wszystkich stanów i usposobień człowieka.

— Minimum życia!—powtarza sobie, ale to tylko w teorii, w praktyce jakoś nie udało mu się dotąd swojego ideału urzeczywistnić; ciągle go wykoleja jakiś powód, często bardzo pospolity i bardzo małej wagi i wiedzy czuje swoją słabość,

swą nieudolność zapanowania nad sobą, jak np. w tym głupim wypadku z Genią Pawłocką.

Co innego myśli, co innego robi.

Licho wie, jakim właściwie wpływem ulega. Raz mu się dziewczyna nadzwyczajnie podoba, drugi raz mu się zdaje, że gdyby była najdojrzalszą wiśnią na gałęzi, to nie sięgnąłby ręką, aby ją zerwać, a potem idzie ni ztąd ni zowąd na górę i robi jej propozycję, za którą w przyzwoitym domu każdym wyrzucają za drzwi i strącają ze schodów.

No, i kto mu to wszystko wytłumaczy?... sam siebie nie może wybać i wyrozumieć.

Z Grotwiczem zaś nie chce tego analizować, bo musiałby go wtajemniczać w fakta, których nie ma ochoty zwierzać komukolwiek; z Krempem nie wypada mu mówić o tem a bliższych stosunków nie utrzymuje więcej z nikim, tak się pozbył wszelkich znajomości i tak odsunął od ludzi, towarzystwa, świata.

To nie jest mizantropia, to jakiś rodzaj idiosynkrazji, która powstała z rozleniwienia się w tym trybie życia, jakie prowadzi.

Dawniej zajmowały go książki, które pochłaniał bez wyboru i porządku, teraz doszło do tego, że je tylko kupuje, sprowadza, ale po większej części nie czyta, nawet nie rozcina, bo go szelest kartek razi.

Układa je systematycznie na półkach i biurku, obiecując sobie zawsze, że „się do nich zabierze“, ale to złudzenie.

Żeby mu kto powiedział, co mu jest właściwie!... ba, żeby!... ale kto to powie. Takich doktorów jeszcze niema na świecie, którzyby umieli auskultować organizm duchowy w człowieku. Opukać ciało, ostukać piersi, żołądek, wysłuchać czy tam co nie skrzypie w płucach, czy nie siedzi w żołądku, to lada Krempel potrafi, ale wziąć za puls istotę moralną, zbadać ją, wyegzaminować i zdefiniować jej stan a potem napisać receptę, tego nie potrafi żaden doktor medycyny.

Do duszy ludzkiej nie można przecież powiedzieć:

— Pokaż pani język, — a jak tam z apetytem?... trawi pani dobrze?... i t. d.

A przecież ta dusza, jak i ciało, najczęściej choruje z niestrawności, tylko niestety nie można jej przypisać takich prostych a skutecznych środków, jak dla żołądka.

Takie myśli i porównania powikłane, bezładne, przechodzą bardzo często Gajskiemu przez głowę w pewnych chwilach refleksji; zasypia jednak z nimi i budzi się potem inaczej usposobiony.

Dlatego też właśnie tak bardzo lubi spać, bo ten sen wydaje mu się jeszcze najskuteczniejszym środkiem na tę jakąś nieokreśloną chorobę moralną, której podlega, a której wie, ale z której nie umie się leczyć i nie próbuje nawet wyleczyć.

Spiać, nie myśli i nie miewa snów żadnych; zdaje mu się, że tylko w tym stanie zbliża się do swego ideału, do „minimum życia“, w którym dwie chwile jedynie wytrzymują krytykę, chwila zasypiania i zbudzenia, byle tej tylko nie wywoływał Krempel, wpadający zwykle bez ceremonii do pokoju lub Anastazy, jak teraz właśnie, świecący mu w same oczy lichtarzem.

Licho go tu przyniosło!... Gajski nie zmienia pozycji, ale otwiera powieki zaspane i spogląda niechętnie na starego sługę, który stoi przed nim i przypatruje mu się od kilku minut.

— Czy pan aby nie słaby? — pyta go, widząc, że leży w kapeluszu, w paltocie na wznak, z rękoma w kieszeniach, blade i przez sen poruszający szczękami, pomiędzy którymi tkwi zgaszony papieros.

— Ale Gajski nie odpowiada, jakgdyby nie usłyszał albo nie zrozumiał zapytania.

— Boli pana co? — pyta troskliwy służący.

Znowu nie.

— Któż to widział w paltocie i w kapeluszu się wylegiwać; — burczy stary, — lepiejby się pan podniósł i rozebrał. Jest tu list z poczty.

Gajski mileży ciągle i przygląda się tylko staremu, który się z nim dogadać nie może.

To mu się zdarza dość często i do takich dziwactw „pana Franka“, jak go nazywa w kuchni konfidencyjnie, jest już przyzwyczajony.

Stawia tedy świecę umyślnie na stole w same oczy Gajskiemu, list kładzie obok, macha ręką i mrużąc coś pod nosem, wychodzi znowu.

Kiedy jest już w pokoju stołowym, słyszy wołanie:

— Al... Al... Aa!...

Nie wraca jednak, tylko zatrzymując się, pyta:

— Czego?...

— Al...!

— No słyszę, czego?...

— Al...!

Niema rady, trzeba się wrócić, bo się Gajski widocznie rozbudził nareszcie i potrzebuje czegoś.

Anastazy staje znowu przed ottomaną z miną wyzeczującą.

— No, czogoż pan wołał?

— Która godzina? — pyta Gajski głosem trochę zmatowanym.

— Która ma być? przecież pan ma zegarek przy sobie.

— Kiedy mi się nie chce sięgnąć po niego.

— A właśnie, to bieda, że się panu nie nigdy nie chce!...

Gajskiemu podoba się ta uwaga; uznaje bowiem, że jest trafną. Prawda, jemu się nigdy nie chce; on to przecież czuje od dawna, ale pierwszy raz słyszy głośno spostrzeżenie to zrobione przez kogoś drugiego.

— Która? — pyta po chwili.

— W pół do dziewiątej.

— Tak wcześnie?...

— To wcześnie? — mruczy Staz, który wobec Gajskiego zawsze bywa niehumorny, jakby miał ochotę zrzedzić; — spał pan całe prawie trzy godziny. Herbatę podać?...

Zamiast odpowiedzi, Gajski ziewa i przeciąga się; mileczącym gestem pokazuje na list, położony przy lichtarzu, jakby się pytał: zkad?

Anastazy podaje mu go, ale Gajski rzuca okiem na adres, poznaje rękę matki i nie bierze; domyśla się bowiem, co w nim jest. Zawsze to samo; zawsze wyrzuty, błagania, zaklęcia, żeby zjechał na wieś, wziął się do czego, znalazł sobie jakie zajęcie nie próżnował tak i nie marnował najpiękniejszych lat życia.

Zna już to wszystko na pamięć; mógłby nie rozpoczynając koperty, wyrecytować całe ustępy z listu matki.

— Żeby mi ta stara raz spokój dała! — myśli i chmurzy się.

Dość mu tych najpoczeiwszych, ale i najnudniejszych moralów.

— Rób, rób, rób cokolwiek!...

Tak, ale co takiego ma robić?... to, czegoby chciał, nie może, — coby mógł, nie chce.

Albo to raz tłumaczył już przecie matce, że dla niego o zawód, o zajęcie, o robotę w danych warunkach nie łatwo; dla kawałka chleba nie potrzebuje pracować, bo go ma, nawet z masłem i z miodem, więc po cóż będzie zabierał jakimś biedakowi miejsce i zarobek?... Mógłby zatem tylko dla jakichś wyższych celów, dla zadowolenia swojej ambicji pracować, a do tego... et, co to warto psuć sobie nawet język!...

Stara tego nigdy nie zrozumie; jej się zdaje, że gdyby przyjechał na wieś, wdział długie buty z cholewami, siadł na konia albo na bryczkę i tłukł się z folwarku na folwark, besztal parobków, klócił się z żydami, przeglądał rachunki i wymyślał ekonomowi, tobym pracował więcej, niż teraz i nie jadłbym chleba darmo na tym Bożym świecie.

— Ciekawy jestem, dlaczego nie mam jeść chleba darmo, skoro go jeść mogę! — myśli sobie poczeiwy Franek. — W naturze nikt nie pracuje, kto nie musi, a natura jest mistrzynią wszystkich i basta. Koń chodzi w zaprzęgu, wół orze, aby dostał siana i owsa, ale gdyby mógł mieć swoje własne pastwisko. zobaczylibyśmy, czyby sam wlaził w chomąta albo w jarzmo. Zresztą, niech sobie każdy urządza życie, jak mu z czem najlepiej, co mi do tego!... tylko na odwrót niech się do mnie nikt nie wtrąca, bardzo proszę. Także pretenzja!...

Jeszcze nie dotknął palcami listu matki, a już mu po głowie roją się wszystkie argumenta w tym rodzaju, jakby chciał uprzędzić niemi wyrzuty, które najpewniej są tam w liście.

— Nie będę czytał, po co mam czytać? — mówi do siebie — po co mam sobie tylko krew psuć nadarmo?... nie głupim. A jeśli mi się nie robić nie chce, to co?... zabroni mi kto próżnować?... nie zabroni.

Wznaga się w nim jakiś upór, jakby reakcja pod naciskiem. Gotów jest na złość całemu światu leżeć tak z rękoma w kieszeniach, w paltocie i w kapeluszu na swojej ottomanie, w swoim paltocie, w swoim kapeluszu ze swemi rękoma bezczynnymi, niech go kto spróbuje ruszyć ztąd!...

Spogląda na płomień świecy i bawia go te lekkie drgnienia; widzi, że się złodziej zakradł i że się z jednej strony świeca topić zaczyna, skwiercząc przytem, jakgdyby go wołała na ratunek, ale Gajski jest tak źle usposobiony i taki zbuntowany na cały świat, iż nie chce mu się podnieść i knot poprawić. Niech się topi, wielka rzecz!... on się także topi, do niego także złodziej się zakradł z jednej strony i podkraja mu świecę jego ducha, a on nie.

Denerwuje go jednak to i drażni, że ta świeca tak kapie, mógłby zawołać Anastazego, ale musiałby z nim rozmawiać, tłumaczyć mu, a właśnie czuje się nieusposobionym do tego. Wstanie już sam, coź robić!...

Wstaje i zapalką wyjmując tlejące się kawałki knota, a że jest tak blisko i listu, bierze go za jednym zachodem machinalnie do rąk i choć sobie przed chwilą postanowił nie czytać, rozrywa kopertę, siada na krześle i zaczyna odeflowywać pismo matki.

Bóg wie, kiedy tę kaligrafią wynaleźli; chyba jeszcze przedtem, zanim stara Gajska zaczęła się uczyć pisać. To prawda, że ręka jej drży od czasu tego reumatyzmu, którego się nabawiła na wsi, ale znowu stawia takie kulfony bez kropek, onków, bez interpunkcji, to wstyd, jak na panią dziedziczkę, co odebrała przecież wychowanie na pensji.

Ot, nie wolałaby ta stara nauczyć się wyraźniej pisać, zamiast go napędzać ciągle do roboty?...

„Ukochany mój synu“ — zaczyna się list pani Gajskiej; — „tak dawno nie miałam od ciebie żadnej wiadomości, że jestem prawdziwie zaniepokojona o twoje zdrowie. Wiem, jak się nie umiesz szanować, a teraz brzydka mamy jesień, chłodną i wilgotną, przynajmniej tu u nas na wsi ciągle wiatry wyją i deszcze chlupią. Przypuszczam, że i u ciebie w mieście nie lepsza musi być pogoda.

„Moje zdrowie nie tegie, jak zwykle pod zimę, ale ty wiesz, że ja się pieścić nie lubię i nie mam czasu chorować. Zawszo sobie powiadam, że się wyleżę w grobie za wszystkie czasy, gdy się Panu Bogu spodoba zawezwać mnie do siebie, więc choćby się może i przydało nieraz pójść do łóżka na jaki dzień albo dwa, aby stare kości wypoczęły, odkładam to zawsze na później.

„Przy moich zajęciach i mojem gospodarstwie niema czasu na takie wygodki. Nie pamiętam, czym ci już wspominała, że na Pawicach, wiesz, tu od zagajnika na lewo, musiałam postawić nową stodołę, bo stara spaliła się na wiosnę z resztą krestencyi, chwala Bogu nie dużą, ale zawsze strata“...

Czytając to, Gajski krzywi się i przewraca kartkę, przebiegając resztę oczyma. Te szczegóły i kłopoty gospodarskie nie wiele go obchodzą. Czy jest stodoła nowa na Pawicach, czy jej niema, wielka historia. Opuszcza przeto cały ustęp i zatrzymuje się na nazwisku Grotwicza, które mu nagle w oko wpadło.

— Grotwicz!.. ciekawy jestem, zkad się matce wzięło o nim wspominać.

„Chciałam ci dawno już donieść — pisze Gajska do syna, — że o Twoim przyjacielu p. Grotwiczu dowiedziałam się tu przypadkiem dużo ciekawych rzeczy, które Cię pewnie zainteresują. Byłam na imieninach u Flaszyńskich i tam poznałam pewnego pana, kuzyna ich, który przyjechał z Genewy. Była mowa o tobie i Twoich znajomych, więc między innymi wspominałam o tem, że żyjesz bliżej z p. Grotwiczem, kolegą dawnym z Lip-

skiego Uniwersytetu. Ztąd naturalnie rozmowa o nim się wszczęła. Przyznam Ci się mój Franiu, że mi się bardzo zaniepokoiła tem wszystkim, com o tym panu nasłuchać się musiała. To podobno wielki bezbożnik i farmazon, człowiek bez zasad z całkiem przewróconą głową. Przed kilku laty zdarzył mu się tu wypadek bardzo niemiły, że go prawie wyrzucono z domu, w którym był przez wakacje guwernerem, bo zakochał się w pannie i chciał się gwałtem z nią żenić.

„Panna była trochę egzaltowaną, zajęła się nim i dała mu słowo bez wiedzy rodziców, że pójdzie za niego. Podobno zrobił jej nawet propozycję wykradzenia i czegoś jeszcze gorszego, aby w danym razie zmusić ojca do dania zezwolenia na ich związek.

„Jednak nie życzeli sobie takiego zięcia, bo za wysokie progi były dla jakiegoś tam Grotwicza, a to herbowy ród i skolligacony. Kiedy się wszystko wydało, że pan guwerner panią bałamuci, zrobiono z nim krótki proces; kazano mu spakować manatki i wyjeżdżać, on wtedy do panny, a panna wystraszona, ochłonąwszy naraz z tej wielkiej miłości, wyparła się go i poprosiła, żeby ją uwolnił od swoich affektów.

„Wtedy zaczął się ciskać, groził, że zrobi skandal i powiesi się pod ich oknami, jeśli mu córki nie oddadzą, a gdy to nie pomogło, posunął się do pogróżek gorszego rodzaju, bo napisał do rodziców, iż skompromituje pannę tak, że nigdy więcej za nią nie pójdzie.

„Miał od niej kilka miłosnych liścików i te chciał wszystkim pokazywać.

„Mój drogi, co to za nieuczciwość!

„Skończyło się na tem, że — co Ty powiesz! — musieli te listy od niego wykupić za gotówkę i dopiero wtedy sobie z Panem Bogiem wyjechał. Ale zębami zgrzytał podobno i odgrażał się, że na wszystkich kobietach odemści się za ten despekt, który mu zrobiła panna Henryka; tak jej było na imię a na nazwisko o ile pamiętam Bończa, czy Borończa, coś takiego.

„Wiadomości te mam z najlepszego źródła, bo od samej Flaszynskiej, która jak wiesz jest dla mnie bardzo życzliwa i w zaufaniu wszystko mi to opowiedziała.

„Mój Ty drogi, zaklinam Ciebie, abyś stosunków z człowiekiem takim dłużej nie utrzymywał, bo skoro mógł tak haniebnie postąpić, to widocznie jest bez wszelkiego charakteru i bez poczucia honoru oraz religii.

„Z temi pieniędzmi, to także fakt, bo ci Bończowie zachowali umyślnie dowody, że wziął okup za listy. Powiedz sam, jakie to brzydkie i niepoczciwe; chciały pannę kompromitować za to, że słuchała woli rodziców i nie wyszła za męża za niego!...

„Nie tej dzisiejszej młodzieży nie rozumiem, a kiedy pomyślę, że Ty mój synu najukochańszy żyć musisz w takim otoczeniu i w takiej sferze, to mi się serce ścisza i na płacz zbiera. Przecież to taki jeden zły człowiek, jak zgniłe jabłko w koszu, może dwudziestu innych pełnią zarazie.

„Zaklinam Cię na wszystkie świętości, abys’...“

Gajski nie może dokończyć listu, taki jest zirytowany.

— Potwarz, nie innego, tylko potwarz! — woła w duchu z oburzeniem. — Grotwicz miałby zrobić takie świństwo, on?... to nieprawda. Onby się bawił w romanse z wiejskimi panienkami, bałamuciłby miał dziewczęta?... namawiać do ucieczki, brać potem pieniądze od ojca tytułem odstępnego?... nie, nie, nie, to być nie może!...

Babskie plotki, nie więcej.

Zeszły się stare kumoszki i dalejże wywlekać jakieś niestworzone rzeczy, jakieś bajdy. Gdyby to nie było tak daleko, pojechałby sam do tych Flaszynskich i palnął im *verba veritatis*, ażeby im w pięty poszło.

Nie podoba się im Grotwicz, bo to człowiek zasad, śmiałych przekonania, wyższych idei, to nie żaden przeciętny umysł i charakter.

O, Gajski jest poruszony, jakgdyby na niego samego potwarz rzucono.

W osobie Grotwicza zaatakowano coś ważniejszego, przedstawiciela nowego kierunku, filozofa nowej szkoły, jego mistrza i przyjaciela. Tego nie można puścić płazem. Kalumnia robi swoje,

ale jej się nie uda. Tę rzecz trzeba zbadać do gruntu. Poczekajcie!...

Instynktowo Gajski zapala się, bo są w nim jakby dwie natury całkiem odmienne, natura człowieka zdrowego i natura człowieka chorego; jedna przeważa drugą.

Ot, np. i teraz, dałby sobie rękę w ogień włożyć, że to wszystko jest kłamstwem, co matka pisze o Grotwiczu, ale jednocześnie odzywa się w nim jakaś podejrzliwość.

— A jednak... a kto wie... może to i prawda?...

Ten Grotwicz nauczył go sam tak wątpić o wszystkim, tak lekceważyć wszystko, takim cynizmem go karmił przez czas bliższych z nim stosunków, że Gajski mimowoli nie umie być o niczem prawdziwie, głęboko, szczerze przekonany; nie umie wierzyć w nic, nawet w Grotwicza samego, bez zastrzeżeń, bezwzględnie.

Jest jak naczynie pęknięte, które ma ledwie widoczną skazę, ale przez tę skazę przesącza się wszystko.

Oburzenie jednak przeważa jeszcze nad wszelkimi refleksjami

Gajski chodzi po swoim pokoju i mimowoli rzuca spojrzenia w lustro wiszące na ścianie, jakgdyby badał siebie samego. Czyni to prawie machinalnie, bezwiednie, ale nie może się powstrzymać i jak aktor studyjujący swoją mimikę przed zwierciadłem, przypatruje się sobie, jakby ze zdziwieniem, które zdaje się mówić:

— No, patrzcie, ja się unoszę, ja się jeszcze zapalam?... a lieho wie, czy to warto!... niechże się pokaże, że to wszystko prawda?... nie, trzeba zająć Grotwicza z mańki. On mi i z tą Genią piwa nawarzył; kto go wie, czy tam nie ma jakiej plamki na sobie. Nikomu i nicemu na świecie nie można ślepo wierzyć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## DZIECKO I RODZINA.

Pedagogiczna literatura nasza z bogaciła się świeżo książką bardzo ważnej treści: „Dziecko i rodzina“. Napisana po-niemiecku przez d-ra Haufe pod tytułem: „Listy do matki“, ze względu na różnice zachodzące między naszym i niemieckim społeczeństwem uległa w przekładzie zmianom pewnym, jak to wydawca: T. Paprocki, w przedmowie oznajmia. Instynkt macierzyńskiego serca — miłość macierzyńska, rodzicielska, stworzyła tę naukę, która pod nazwą pedagogii daje nam obecnie wskazówki postępowania z dzieckiem. Szereg prawd, opartych na doświadczeniu, na rezultatach, jakie wydają różne kierunki wychowania, zesummowany razem stanowi jej podstawę; przecież prawdy te tkwią w sercu każdej kochającej matki, jako instynkt, zrodzone z miłości jej dla dziecka. Potrzeba niemniej dać im samowiedzę — dać im podporę w zrozumieniu tego, co powinno być celem szlachetnie, uczciwie pędzonego życia — wskazać przytem środki, jakich potrzeba tu używać, i dlatego to na pomoc macierzyńskiej, rodzicielskiej pracy wychowania piszą się książki, których zadaniem jest ujęcie kierunków wychowawczych w systemat pewny.

Ponieważ oświecenie umysłu dziecka łączy się ściśle z wychowaniem, bo rozwija ono władze umysłu istoty młodej, pomaga jej rozumieć życie, poznać jego cele i zadanie, pierwszy rozdział książki został poświęcony przedmiotowi: „Uczoność“. Wieki pracowały nad zebraniem i zestawieniem ze sobą różnorodnych zdobyczy wiedzy ludzkiej, i nikt już wiedzy tej w całości posiadać dokładnie nie jest zdolnym; przecież pragnienie jej w zakresie możliwie najszerszym jest cechą naszego wieku, i ztąd większe, niż kiedy, pożądanie rodziców, aby ich dzieci wiedziały, umiały wiele, wystąpiło bardzo silnie, spotykając się tu wszakże z trudnością wielką. Postępy w nauce, w gałęziach jej rozmaitych, rozszerzyły ogromnie pole wiedzy — rozszerzyły je tak, że

żaden umysł wszystkiego objąć nie może, i wiedza podzieliła się z konieczności na mnóstwo gałęzi — podzieliła się tak, że jest teraz bardzo wielu ludzi wysoko uczonych, niebędących przecież ludźmi, o którychby powiedzić można, iż są wykształconymi, że posiadają taką wiedzę o świecie i ludziach, któraby im dawała szeroki i wyższy pogląd na świat, na ludzkość i jej sprawy. Wychowanie znajduje też obecnie przed sobą trudności wielkie; trzeba przecież wychowawcom widzieć przedewszystkiem w dziecku przyszłego człowieka, który, według słów poety, powinien mieć „dobra i piękna święte pożądanie“, i według tego oświecenie jego umysłu prowadzić tak, aby specjalność żadna nie pochłonięła go, nie zamknęła w kółku swoim — aby ponad prawnikiem, lekarzem, inżynierem, stał najwyższy człowiek. Lecz dalej nie można zupełnie godzić się z autorem, który powstaje na dzisiejszą dążność tak chciwego garnięcia się do nauki, jakgdyby wszyscy być mieli uczonymi professorami, co według niego odbiera samodzielność, oryginalność myślenia. Umysł, który przetrawi naukę należycie, nie wpadnie w to nigdy: wiedza wyższa otworzy mu tylko szerszy krąg widzenia, więc pojęcia życia, i tylko nauka powierzchowna, tylko nauka przykrojona do celów utylitarnych może męczyć i przygniatać, wyrabiać pedantów, lub półmędrków — ludzi najmniej użytecznych i zarazem najmniej szczęśliwych, bo połowiczność wszelka utrudnia nam życie. Że młodzież bywa dziś bardzo często przeciążana nauką, że rodzice z nieznana dawniej zabięgliwością starają się, poczynając od lat niemal dziecięcych, przeładowywać, więc męczyć umysły dzieci nadmierną dozą nauki, jest rzeczą niezaprzeczoną, ale to zupełnie inna strona przedmiotu. Jest to skutek nieszczęśliwej walki o chleb, którą można nazwać raną nowożytnych czasów — rozwielenionego egoizmu, który każe człowiekowi pechać się przebojem naprzód, nie zważając „co na drodze jego: kamień czy otehlań, lub serce bliźniego“.

Autor taksamo rzecz pojmuje i pisze w rozdziale „Wykształcenie“, że nie wiedza jedynie podnosi nas na wyższy poziom życia, na wyższy stopień cywilizacji. Wykształcenie, to nie uczoność konieczna, bo nie dość jest jeszcze wiele wiedzieć, i potrzeba czegoś więcej, aby stanąć na tej wysokości, z której duch ludzki zdolny jest ogarniać cele życia prawdziwe; więc nikt rzeczywiście rozumny nie patrzy z pogardą na tych maluczkich, którzy mniej umieją, jeżeli tylko potrafią w prostocie ducha swego pełnić dobro i stać przy obowiązku. Człowiek uczony, który nie jest wykształconym, czyli nie posiada nic więcej nad wiedzę faktów naukowych, nigdy mędrcom nie będzie, bo nie dość jest *wiedzieć*, trzeba jeszcze *rozumieć*, i wtedy tylko wschodzi gwiazda Platona: wtedy mędrzec pracuje dla ludzkości i ambicya jego nie polega już na tem, że wie więcej od innych. Dziś, pisze autor, namnożyło się więcej, niż kiedy, takich ludzi połowicznie uczonych, i dlatego nauka współczesna stała się zimną: daje umysłowi przeważnie wiedzę „Ideały dobra i piękna, ciągła dążność do uszlachetnienia charakteru, podniesienia ducha zostały wyprowadzone za nawias“, i dlatego autor upomina się u rodziców o to kształcenie dziecka domowe, które „powinno tak uzupełniać kształcenie szkolne“, aby młodzież równocześnie z nabywanymi prawdami naukowymi, nabywała prawdy moralne. „Szkoła rozwija rozum, dom powinien kształcić uczucie i wolę, rozwijać zamiłowanie piękna: rozbudzać, uszlachetniać popędy towarzyskie i społeczne“.

Tylko podniesienie ducha ku idealniejszemu celom życia zapewnia człowiekowi szczęście, bo tego los najokrutniejszy wydrzeć mu nie może, aby radował się z postępu dobra, aby wierzył w to, że zapanować ono musi na ziemi, jeżeli tylko większość ludzi nosić będzie w piersiach dobra tego pragnienie prawdziwe, rzeczywiste, to jest takie, którego dowodzi się przez czyny życia — które nakazuje nam przykładać czynnie rękę do dzieła. Tylko wykształcenie w człowieku moralnej jego istoty a nie fachowca jedynie, tonącego wszystkimi zdolnościami swymi w tym, a nie innym, oddziały pracy na dobrobyt materyalny, może doprowadzić do tego, i autor ostrzega też, że nie

wiedza jedynie, nie uczoność, „nie zimna praca samego umysłu, ale poczucie obowiązku, cnota humanitarności, poświęcenie, szlachetne podniesienie myśli i odpowiednie kierowanie czynów (przy dostojnej swobodzie ducha, którą to wyraża) są tu siłą, która może uczynić tak pojedynczego człowieka, jak narody całe wielkimi, silnymi—może zawieźć je na wyższy stopień rozwoju kulturalnego“.

Wskutek tego musimy dojść do przekonania, że nauka sama nie przysporzy człowiekowi szczęścia, że potrzebuje ona mieć podporę w wyrobieniu pojęć moralnych, a przecież wpływ rodziny na dziecko, wychowanie domowe obniżyło się wielce w ostatnich latach naszego wieku i, jak pisze autor niemiecki, „zanadto spuszcza się ono w kształceniu dziecka na szkołę“, zawczasie i za bardzo zwierza jej zadanie kształcenia istoty jego. Jest to, zdaniem autora, chwila czasu przejściowa. Dawniejsza prostota układu naszego życia w rodzinach zmienia się, przecież bynajmniej nie na korzyść tej rodziny: dawniejsza oszczędność, skromność obyczajów, ulega ciągłym, choć dla oka nie umiającego patrzeć w głąb, niedość widocznym zmianom. Pismo nasze już nieraz podnosiło głos w tej samej kwestyi, dowodząc, że handel, przemysł, coraz więcej się rozwielmożniając w wieku naszym, następują na pracę domową w łonie rodzin — wypychają dla celu zysków, które przecież oparte są na stratach, ponoszonych przez rodzinę. Obecnie potrzeba to samo powtórzyć co do pierwszego kształcenia, pierwszej nauki dziecka. Szkółki freblowskie, czy niefreblowskie, mnożą się bez liku — mnożą się głównie dla celu zarobkowego osób, potrzebujących pracy, a obok tego niejednym głosem uczonych ludzi odzywa się, dowodząc, że szkoła przy specjalnem wykształceniu pedagogicznem, którego nie posiadają matki, brane ogółem, daleko lepiej wywiąże się z zadania swego, przeciwko czemu przecież pismo nasze, zgodne w pojęciach swoich z pedagogiem niemieckim, protestowało nieraz — protestowało przez cały szereg lat swego istnienia i nigdy protestować nie przestanie.

Matki mniej powierzchownie patrzące na życie czują to same, ale jednym ułatwia to trudny wychowania, więc się dają przekonać osobom, które, wierząc przedewszystkiem w fachowość, utrzymują, że szkoła lepiej od nich wywiąże się z zadania; drugie, niestety! zmusza do tego ciężka potrzeba pracy na chleb. Wobec takiej konieczności trzeba smutnie schylić głowę, przypominając sobie surowe wyrazy Smona: — Robotnica! wyraz przeklęty... robotnica! wyraz bezbożny... Ale tam, gdzie smutna konieczność nie odrywa matki od domu, a czasu jej nie pochłania konieczna praca na chleb, matka powinna być jak najdłużej nauczycielką dzieci swoich, i dla kochającej prawdziwie, dla tkliwie przywiązanej do dziecka swego, jest to nie tylko obowiązkiem, ale rozkoszą serca: budzić pierwsze błyski inteligencji w tej maleńkiej istocie, dla której zaczyna się stawać wtedy matką i rodzicielką, nie tylko wedle ciała i krwi, ale i wedle ducha. Szkoła, dodaje dr. Haufe, uczy, ale nie kształci i jest to naturalny podział pracy, który zmienionym być nie może nigdy i nigdzie. Dziecko może, powinno nawet słyszeć w szkole pewne słowa, które każą istocie młodej czuć enotę, ulegać nakazom praw moralnych; ale za mało to jest, aby prawdy te przeniknęły tu do przekonania, podane pod postacią abstrakcyi, i trzeba, aby obok tego wzruszenie uczucia nakazało spełnienie obowiązku — pomogło w wykonaniu go. Jak, na przykład, jałmużna dana żebrakowi, którego nędza obudziłitość w sercu młodem, nauczy miłosierdzia i jego obowiązków, tak miłość dziecinna, wrodzone uczucie przywiązania do rodziców, pomoże młodej woli nagiąć się do posłuszeństwa i wyrobi uległość dla rządzącego prawa i zwierzchności.

Przytem rodzice, matki zwłaszcza, znają doskonalej niż nauczyciele, nauczycielki, moralną stronę dziecka i wiedzą, co tu jest błędem przypadkowym, popełnionym przez żywość, nieznaną prawo rządzących człowiekiem, a co wadą, brakiem moralnego poczucia enoty, obowiązku. Matka szczególniej powinna znać najlepiej dziecko swoje. Haufe pisze nawet, że tak jest zawsze,

choć co do tego wypadłoby może postawić zastrzeżenie pewne, bo żaden Amor grecki nie miał na oczach takiej zasłaniającej wzrok opaski, jak bardzo, bardzo znaczna liczba matek; ale jest za to w ich sercach, zwłaszcza gdy są to serca szlachetne, takie dla dziecka pragnienie enoty, doskonałości moralnej, że jedno uzupełnia niedobory drugiego i razem wychowanie macierzyńskie jest słusznie uważane przez autora za najdoskonalsze — na zasadzie praw natury obowiązek spełniające.

Dziecku nauka posłuszeństwa przychodzi tu łatwo i, można by powiedzieć, słodko, bo uleganie prawu, którego jeszcze zrozumieć nie może, ale siłę uczucia, które uczy go tym sposobem cnoty najtrudniejszej może dla człowieka: poddania woli swojej rozkazom woli drugiej i to właśnie przemawia szczególniej za wychowaniem macierzyńskiem. Dziecko przywiązuje się wprawdzie i do piastunki, zwłaszcza łagodnej i starannej, ale wszyscy znający te stosunki wiedzą, że nigdy nie jest to uczucie tak żywe, tak silnie się objawiające. Bóg je wlał w serduszko to młode, uczynił serca tego instynktem, który trwa w człowieku i nie opuszcza go dopóty, póki serce jego zdolne jest coś czuć, coś kochać niesamolubnie. Wyrodnością też nazywa się w słowniku ludzkości brak przywiązania do matki, tak, jak matki do dziecka. Miłość dziecinna, czyni niejako w sercu ludzkim miejsce tym wszystkim uczuciom innym, które budzić się tam będą w biegu życia; miłość dziecinna jest zatem szkołą uczucia, kielkiem jego pierwszym, i dziecko zimne, obojętne dla matki, dla rodziców, będzie z pewnością człowiekiem pozbawionym zdolności uczuć tkliwych — będzie samolubem tak, jak samolubną jest ta matka, która cofa się przed wykonaniem świętych obowiązków macierzyństwa, która dziecka swego mlekiem swem nie chce wykarmić, która go nie wypiąstuje u swego łona, nie ogrzeje ciepłem piersi swojej.

Wyjąwszy wyrodną, a takich, dzięki Bogu, jest niewiele, wyjąwszy samolubną, która siebie tylko kochać może, niemal każda matka czuje żywe do dziecka swego przywiązanie; przecież matką dobrą jest ona wtedy tylko, gdy potrafi kochać silnie, a przecież rozumnie — gdy ma dla dziecka swego takie gorące pożądanie enoty, szlachetnego wśród ludzkości istnienia, że zdolna jest stać się nawet zarówno karzącą sprawiedliwością, aby tylko w piersi dziecka swego zatłumić instynktu zła, czyniąc miejsce enocie, rozwojowi uczuć lepszych, uczuć szlachetnych.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Początek Listopada 1892.

Dziwną a wcale smutną niespodziankę przyniosła nam jesień obecna... Zapowiadała się i przychodziła słoneczna, ciepła, wróżąca długie istnienie pogodne. Dużo nadziei na dobrych tych początkach budowano: wszelkie jednak nadzieje zniknęły; kombinacye pomyślnie zawiodły, upadły; rzeczywistość je splątała, w świat szeroki jesiennej pajęczyny rzuciła... Spodziewaliśmy się tłumnego przeciągania przez nasze miasto wracających z wód i miejsc kuracyjnych, własnych i obcych; spodziewaliśmy się, że ten i ów w murach naszych na zimę zagości, że się ożywi nasz maluczy, handlowy ruch, bo my, z powodu naszej geograficznej pozycyi, wciąż na obcych a przyjezdnych oglądać się musimy — stało się jednak inaczej. Nadzieje nie tylko rozczarowania przyniosły, ale i klęski materialne, duże, niespodzianie nadeszły.

Kilka wypadków cholery, jakie w pierwszych dniach Września pokazały się na naszych przed-

mieściach, zdołały wszystkie nadzieje obalić i niezmierny popłoch wzniecić.

Dość było dwóch, trzech wypadków, by wywołać panikę ogromną, i sprowadzić cały szereg sanitarnych urządzeń, dziwnie krepujących wszelki ruch handlowy, odstraszających obcych przybyśców. Nieszczęśliwa nasza pozycya geograficzna, jesteśmy bowiem niby bramą prowadzącą do serca Austrii, wywołała tysiące zbytecznych obstrzeżeń: zrobiono z nas straż policyjną zdrowia i spokoju prowincyj środkowej rakuskiej monarchii, i za ten honor czuwania nad spokojem zachodniej połowy państwa zapłaciliśmy sowicie.

Straty poniesione przez nasze miasto są ogromne, jak na nasze stosunki, na naszą chroniczną biedę, od której wzrostu i rozszerzenia się żadna dezynfekcyja zabezpieczyć nie może. Cholery, jako epidemii, właściwie tu nie było; sporadycznie ukazujących się kilkunastu, czy nieco więcej wypadków niepodobna nazwać epidemią; ale popłoch i straty z powodu zbyt wielkich ostrożności były wielkie. Popłoch istniał i znikł, gdy przekonano się, że epidemii nie ma, i wogóle stan sanitarny miasta lepszy w tym czasie, niż zwykle bywał w jesieni, ale wielkie straty materialne są, pozostaną na długo szczerbą zbyt trudną do wyrównania.

Popłoch, spowodowany pierwszemi o choleryze pogłoskami, zaiste, większym się okazał, niż można było przypuszczać, niż widywano w podobnych okolicznościach; charakterystyczny to objaw chwili, jak dalece ludzie obecnej epoki do życia są przywiązani, jak trudnem im się wydaje rozwiązywanie nici wiążących z ziemią.

Przed okiem naszym już się wielokroć przesunęły epidemie różne, nie widzieliśmy wszakże tak wielkiego przestrachu, jaki teraz zapanował. Widocznie, wrośliśmy tak mocno w sprawy ziemi, iż rozstanie się z nią, uważamy jako coś zbyt ciężkiego... I rzeczywiście, rozglądając się dokoła, spostrzega się na każdym kroku zbyt wielkie zespolenia z materialną stroną życia, którą się podnosi bez względu na drogi i środki... o życiu innym, weale się nie myśli, a nawet wszelkie oglądanie się na sąd współczesnych prawie teraz nie jest znane.

Rozszerzenie się cholery budziło na innych punktach, np. u was w Warszawie, dużo współczucia dla nędzy narażonej najbardziej na cioty epidemii. Współczucie to pojawiło się w dziedzinie prywatnej inicjatywy; tu składano wszystko na barki gminy, z małemi bardzo wyjątkami. Do takich wyjątków, które wobec zbliżającej się grozy epidemii poczuwały się czynić coś z własnej inicjatywy na polu miłosierdzia, zaliczyć przedewszystkiem potrzeba d-ra Jordana, który, nietylko teraz, w dniach obaw epidemii, ale wogóle w ostatnich latach, dużo pożytku przyniósł, zasług położył dla miasta.

Jego to myślą, pracą, kosztem, zabiegami stanął park, noszący imię założyciela, gdzie on urządził miejsce ćwiczeń fizycznych dla dzieci i młodzieży. Po kilkaset i więcej dzieci mają w ciągu całego lata możność rozwoju swych sił; przyzwyczajają się do ładu, do zręczności, do zabaw i ćwiczeń gymnastycznych gromadnych, wśród rówieśników, na boiskach. Nie tylko są tam urządzane, przy stosownych przyrządach, ćwiczenia i zabawy gymnastyczne dla chłopczyków, lecz i dla dziewczynek. Młodzież starsza dochodzi w rozwoju swych sił i zręczności do znakomitych rezultatów, tak dalece, że mogłaby iść w zawody z najlepszemi gymnastykami. Instytucya ta, zalicza się u nas do najpożyteczniejszych i najlepiej rozwijających się, a imię dra Jordana nadzwyczajną cieszy się popularnością wśród dziatwy płci obojga. Rodzice, których dzieci uczęszczają do „parku Jordana“, wybornie rozumieją doniosłe znaczenie „parku“ dla wychowania fizycznego i moralnego młodych pokoleń, z głęboką wdzięcznością wspominają imię założyciela i kierownika owych ćwiczeń fizycznych, a niektóre miasta prowincjonalne zaczynają go naśladować urządzając u siebie ogrody z boiskami dla ćwiczeń i gier gymnastycznych.

Dawniej zaznaczyliśmy w tem miejscu fakt pocieszający, iż szkoła dla służących płci żeńskiej, od paru lat istniejąca, rozwija się dość pomyślnie, chociaż znikąd ani pomocy, ani zachęty nie mieli

inicyatorowie, chociaż i same służące są raczej wstrzymywane od uczęszczania do szkoły, niż zachęcane. Opieka nad służącymi nie poprzestała na owej szkole; urządziła się obecnie przytułek dla służących, które są bez stałych miejsc. Będzie to zatem „Przytulisko“ dla niemających chwilowo zatrudnienia; przyjmować mają do niego, na czas najdłuższy dwumiesięczny, służące odznaczające się moralnością, i te przeważnie, które nie z własnej winy miejsce straciły. Inicyatorki i opiekunki, nie poprzestając na tem, pragną, by korzystające na pewien czas z przytuliska i troskliwej opieki, korzystały też i w swym zawodzie, aby szczególnie te, co przybyły wprost ze wsi, i nie nie umieją, uzdolniły się w praniu; prasowaniu, gotowaniu, robieniu porządków domowych. Przytulisko wcale nie ma być miejscem wypoczynku, podczas przejścia z jednego na inne miejsce: owszem, ściśle łączy się z niem pracownia, w której głównie praniu oddawać się mają, i tamsamem, chociaż chwilowy zarobek zdobywać. Od projektu i planów do czynu przeszło się prędko tymrazem. Już schronienie otwarte i narazie siedmnaście dziewcząt się zgłosiło.

Napłynęły ich zapewne zwiększy się jeszcze znacznie, wieś bowiem wciąż daje miastu tłumne zastępy szukających pracy dziewcząt. Przechodzą one na bruk wcale nieuzdolnione, oświadczając, że są do wszystkiego, gdy właściwie zakwalifikować je należy do niczego. Nie nie umieją i niewiele pożytecznego uczą się, i to, czem ich bruk obdarza, zaiste, najczęściej bywa ujemną zdobyczą.

Nie posiadają biedne te wiejskie dziewczątka poczucia potrzeby pracy i przynoszą z sobą brak zamiłowania porządku; lud nasz bowiem wcale miłością porządku, czystości nie odznacza się. Przedewszystkiem więc nie tylko w schroniskach, ale panie, chlebodawczynie, na owych miejscach powinny pracować nad sługami, by wykrzesać jakąś iskrę wyższej myśli z główek ciemnych, by w nich obudzić poczucie godności osobistej, by je powołać do życia bardziej ludzkiego, a przytem starać się o pielęgnowanie w nich zarodków jakichś lepszych, wznioślejszych pragnień, jeśli która posiada je w głębi ducha swego.

Niestety, o tem wszystkim zapomina się najczęściej, ściślej mówiąc, zawsze. Nie dziwmy się zatem, iż zewsząd dają się narzekania słyszeć na złe, krnąbrne, nieumiejętne służące, na zawiść, gniew wciąż wrzący w sercu biednych tych dziewcząt. Narzekania—codzienną są strawą naszych pań. Zebrania towarzyskie, urzędy pań w kołach poufniejszych, spełnione są owemi na sług narzekaniami a tymczasem źródło narzekań w mocy naszej usunąć. Trochę tylko pracy do tego przyłożyć. W duszach tych prostaczych, biednych dziewczątek niejedno dobre ziarno spoczywa; potrzeba je tylko wynaleźć, stosownie pielęgnować a urosnie zeń kłos pożyteczny.

Jeżeli w naszych umysłach dużo nieraz budzą zainteresowania losy dzieci chińskich, w przeludnionych okolicach Państwa Niebieskiego, jeżeli murzyni afrykańscy budzą również nasze współczucie, sądząc, że i los owych biedaczek, córek wioski i miasteczek naszych, które są pokojówkami, kucharkami, niańkami u naszych ognisk domowych, powinien nas nieco obchodzić, przynajmniej nie o wiele mniej od losu czarnych z pustyni Afryki... Ta myśl skłoniła mnie, iż poświęciłbym owemu wydziedziczonemu biedactwu słów kilka...

Jeszcze na chwilę wracam do tej kwestyi... Nie ulega, zdaje mi się, żadnej wątpliwości, iż istoty te nadzwyczaj zaniebane, gdyby chociaż odrobinnę miały czasu na jaką ucztę duchową, dużyby skorzystały, i one same, i ich chlebodawczynie. Oto jeden z przykładów.

Przed kilku miesiącami ktoś ztąd wyjechał do wód na całe lato. W mieszkaniu pozostała tylko kucharka, dziewczyna nie pierwszej młodości i z wszelkimi pozorami wielce zaniebanej inteligencji. Pozory często mylą. Po powrocie pan domu zapytuje kucharki, co znaczyło oświecanie saloniku do bardzo późnej godziny podczas nieobecności państwa, o czem obszernie mówili sąsiedzi.—To ja w saloniku urządziłam swe czytania, odparła kucharka, w kuchni mógłby mnie kto

przeszkadzać, w pokoju bardziej środkowym byłam zabezpieczoną od wszystkich nieprzyjemnych niespodzianek...

— Cóżś czytała?—pytano ją.

— „Branki w jassyrcze“, panny Deotymy... odczytałam je uważnie dwa razy, chociaż mnie już były znane.. O, co to za cudna powieść! — mówiła dziewczyna, a oczy jej nabierały dziwnego blasku.

Odczytana powieść zrobiła na niej większe wrażenie, niż inne książki jej znane. Wiek XIII-ty odzwierciedlił się z całą mocą w jej myśli, i później, w rozmowach ze swemi koleżankami, porównującą XIII stulecie z XIX, dochodziła do wniosków, zaiste, zadziwiających...

Mniemamy, iż podniesienie poziomu umysłowego naszych służących, nieusuwanie ich od umysłowych rozrywek, wpływałoby bardzo na lepsze spełnianie ich obowiązków. Stwierdzają to liczne przykłady spotykane zagranicą, gdzie pracy ręcznej, nieraz bardzo ciężkiej, mają się tesame dłoń, które na chwilę przedtem trz mały Szekspira, obeowały z Szyllerem... Praca umysłowa ani na chwilę tam nie przeszkadza spełnianiu obowiązków wypływających z twardych warunków prozy życia...

## POMYŁKA EWUNI

SKIC POWIEŚCIOWY

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dokończenie).

W kilka miesięcy potem p. Witoldowa spoczywa na otomanie, z książką w ręku. Błada jest i cierpiąca.

— Czy koniecznie chcesz jechać, Witoldzie?—pyta męża słodko. — Tak bym pragnęła, abyś dzisiaj przyjemność swoją dla mnie poświęcił i został w domu.

Czuję się niedobrze — niepokój o ciebie denerwuje mnie więcej jeszcze.

Tylokrotnie czytałam o niebezpiecznych wyprawach na dziki, i nigdy nie obeszło się bez wypadku

Nie jedź, Witoldzie!—mój drogi, mój jedyny. Zrób to dla mnie!

Witold milczy. Czoło ma przecięte zmarszczką, oczy ponure i gniewne.

— Daruj, moja kochana—rzekł wreszcie — ale niepodobna mi zadawałniać wszystkich twoich kaprysów.

Dzisiaj poświęcę ci polowanie, jutro zażadasz czego innego.

Nie zwykłem zresztą zmieniać moich postanowień, w żadnym razie i dla nikogo.

Podniósł się z krzesła, zarzucił dubeltówkę na ramię i zadzwonił.

— Zawołaj dorożki — rzekł do służącej — a śpiesz się.

Podszedł ku żonie, machinalnie pogłaskał ciemne jej warkocze i pocałował w czoło.

— Bądź zdrowa — rzekł.—Połóż się wygodnie, zapomnij o śmiesznych obawach, bo wierzą mi zbyt czyste są one zupełnie. Wrócę pojutrze i proszę, abym panią moją zastał zdrową i uśmiechnioną.

Do widzenia!

— Ależ, Witoldzie — próbowała przemówić jeszcze widocznie cierpiąca Ewa—możebyś za dni kilka pojechał dopiero. Ja będę zdrowszą...

— Nie nudźże mnie nareszcie—syknął niecierpliwie.—Czy sądzisz, że jesteś zajmującą jako chora, skwaszona i niezdolna—o! bynajmniej. Pozwólże chociaż, abym na dni parę tego miłego widoku uniknął.

Już to wy, miłe, kobietki, jesteście jako żony! niema co mówić!

Przed ślubem żywa jak iskra, wesola jak chochlik, byle męża złapać, a potem — ot co masz!..

Ewa podniosła się z kanapy obrażona nieco.

— Przecież to jest stan przejściowy — rzekła. — Towarzyszą mu z wytkniętymi tysiącami nieprzyjemności, ale żadna z nas temu nie winna.

Wy, mężczyźni, możecie zachować jednostajny humor: bardzo temu wierzę...

My — co innego.

Z piersi młodziutkiej kobiety wydobyło się ciche łkanie, po bladej twarzy łzy płynąć zaczęły.

To już nie to, że odjeżdżał, bolało ją tak okropnie, ale sposób dokuczliwy i szorstki, w jaki traktował jej prośbę, przejął do głębi biedne serce pieszczochy. Ani mateczka, ani Stefan, nie mówili do niej nigdy w ten sposób.

Cheiała jednak mimo wszystko pożegnać się z nim serdecznie; ale Witold, zobaczywszy łzy i pobladałą twarz żony szalonym uniósł się gniewem.

— Ot masz przyjemność! — krzyknął.—Teraz znów płakać zaczyna.

— A więc nie jadę, nie jadę—krzyczał coraz głośniej.—Zdjął dubeltówkę, trzymane w ręku, pudełko z nabojami przygotowanemi do świeżo z zagranicy sprowadzonej lefoszówki cisnął z taką siłą o ziemię, że w jednej sekundzie rozległ się huk i dym czarny cały pokój nappełnił.

Ewa wydała przerażający okrzyk.

Dym zasłonił jej Witolda, więc ogarnęła ją śmiertelna trwoga; czy nie spotka go jakiś wypadek.

Błada jak mara, krztusząca się dymem, zerwała się z kanapy.

— Witoldzie, gdzie jesteś?—gdzie jesteś?—wołała biedna, bezprzytomna, prawie ze strachu kobieta.

Mileczał. Złość w nim kipiała, nie starał się nawet przytłumić jej, ani chciał pamiętać, że Ewa potrzebuje obecnie spokoju i troskliwych starań.

— Oto coś zrobiła — wybuchnął nareszcie, porwał kapelusz i wybiegł z pokoju, nie spojrzawszy nawet na żonę.

Biedaczka stała na środku pokoju jak posąg nieruchoma.

Co ona zrobiła? — czem zawiniła, że tak nieludzko z nią postąpił?

O! teraz nigdy już nie poprosi go o nic, nigdy się nie poskarży.

Jak to dobrze, że mateczka zmiany tej w Witoldzie nie widzi, że nie słyszy nie pierwszy raz już, wydarzających się wymówek, jak delikatna żona dla urzędnika zbyt drogim jest nabytkiem, lub, że miłość pięknym jest do życia dodatkiem, ale wtedy tylko, gdy i wszystkie inne pragnienia dosyć zaspokojone już zostaną.

Biedna, biedna Ewa! — Czula już teraz, jak boleśnie okupić musi swoją pomyłkę, jak miłość Stefana niepodobną była do miłości Witolda samolubnej i wymagającej.

W kilka godzin potem Witold powrócił, zły i pochmurny.

Nie zwracał uwagi na obecność żony i nie zajmował się nią zupełnie. O zaszedł nieporozumieniu nie wspominali ani słowa.

Silnie dotknięta Ewa, chociaż słodka i uległa jak zwykle, nie zwracała się już do męża z niczem co jej osobiście dotyczy i pozornie przynajmniej między małżonkami zapanowała harmonia.

— Chodźmy dziś do teatru — rzekł Witold, dnia pewnego, łaskawiej nieco usposobiony dla żony.

— Trzeba się trochę rozerwać... Za wiele siedzisz, kochanie moje... ruch w każdym razie nie zaszkodzi.

— „Ubierz się ładnie, Eweciu, pójdziemy“.

Rumieniec oblał bladą zwykle teraz twarz Ewy.

— O, jak to dobrze—wołała rozpromieniona.

Tak dawno nie byłam już w teatrze.

Grają Mefistofelesa — nieprawdaż? To moja ulubiona opera. Wdzięczną ci jestem Witoldzie, żeś pomyślał o mnie.

Ach jak się cieszę!..

W parę godzin potem znajdowali się już w loży drugiego piętra i Ewa, zasłuchana, rozmarzona, nie wiedziała co się w koło niej dzieje.

Mefistofeles dobiegał do końca.

Publiczność żwawo oklaskiwała nadobną śpiewaczkę; Ewa, chcąc się wrażeniem jakimś podzielić z mężem, odwróciła się szybko ku niemu i wyraz nieopisanego zdumienia w oczach jej zablasyła. Czy to Witolda czarne, demoniczne blasku źrenice wpatrują się tak namiętnie w stojącą na scenie w liliowym świetle bengalskiego ognia, uroczą i wabiącą jak pokusa śpiewaczkę? Twarz jego płonęła i bladeła naprzemian. W pół otwarte usta szybkim i gorączkowym poruszały się oddechem.

Nie widział badawczego spojrzenia żony, nie słyszał dźwięków muzyki, widział jedynie tę czysto zmysłową, ale piękną postać, której strój grecki uwydatniał uroczne kształty.

— Witoldzie—szepnęła Ewa—Witoldzie.

— Daj mi pokój — szepnął niechętnie. — Nie przeszkadzaj.

Ewa przygryzła poblądłe usteczka i nie zaczęła już męża ani słowem jednym.

Opera się skończyła.

Ostatnie brawa umilkły. Rozentuzymowana publiczność zęgnęła owacyjnie ulubioną artystkę.

Ewa bez pomocy męża ubrała się sama. Twarz jej była tak białą, jak koronkowa narzutka na głowie.

Stała cierpliwie, do wyjścia gotowa. Witold wreszcie zwrócił się ku niej.

— Chodźmy, rzekł obojętnie. Niecierpliwym ruchem wsunął sobie rękę żony pod ramię i wyszli z teatru.

— Nie śpiesz tak, Witoldzie, prosiła Ewa.

Trudno mi jest przy obecnym stanie zdrowia podążać tak szybko.

Witold głuchym na prośbę żony pozostał. Ciągnął ją za sobą z niecierpliwością najwyższą, aż biedaczce tchu w piersiach nie stało.

Nie skarżyła się jednak i mileząc wrócili do domu.

— Dobrej nocy—rzekł Witold. Każ sobie podać herbatę do swego pokoju i połóż się.

Ja wychodzę jeszcze. Do widzenia!

— Do widzenia — szepnęła Ewa cichutko, bo lękała się by głos drżący nie zdradził, co się w duszy działo.

Odetchnęła z wyrazem ulgi, gdy się drzwi za mężem zamknęły.

Będzie mogła przynajmniej zapłakać swobodnie.

Odprawiła służącą z herbatą, usiadła przy oknie i zadumała się smutno. Teraz już nie miała żadnych złudzeń. Charakter Witolda przedstawił jej się w całej swej brzydocie.

— Oby się tylko przed mateczką nie zdradził — szeptała do siebie. To-by ją zabiło.

Nikt, nikt dowiedzieć się o tem nie może. Zaciskała ręce w bólu rozpaczonym; szary brzask poranku zastał ją jeszcze siedzącą przy oknie.

Witolda nie było.

Ewa domyśliła się odrazu, że piękna śpiewaczka zatrzymała go tak długo.

— Czy pani wstała? — usłyszała nareszcie pytanie, a głos Witolda, zmęczony i ochrypły, przykrym zabrzmiał w jej uszach dźwiękiem.

— Jestem—rzekła, uprzedzając odpowiedź służącej, — i blade, ale spokojna weszła do jadalnego salonu.

— Czy życzysz sobie czego, Witoldzie?

Witold chciał widocznie podejść ku żonie, nogi jednak odmówiły mu posłuszeństwa; chciał coś powiedzieć... ale i język był mu nieposłusznym.

Był pijany.

Wytobna, nawskróś poetyczna natura młodej kobiety, aż się ugięła pod ciężarem boleści i obrzydzenia, gdy męża w takim stanie ujrzała.

Byłyż to piękne oczy Witolda, te bezmyślne, krwią zaszele źrenice?..

Jegoż to elegancka postać chwycie się w jedną, to w drugą stronę, wywołując uśmiech sztycherzy na usta zbudzonej pokojówki.

Ach! jakaż boleść straszna, jaki wstyd bezmierny przejął jej serce!

Odesłała pokojówkę i podeszła ku mężowi ujęła go pod ramię i do sypialnego zaprowadziła pokój.

— Połóż się — szeptała zdławionym głosem, połóż, proszę. Ostrożnie, bo upadniesz — krzy-

knęła przerażona, i zaledwie od upadku uchronić go zdołała.

Położył się nareszcie, w parę chwil potem, głośne chrapanie obilo się jej o uszy.

Pociąg pośpieszny zatrzymał się na stacyi o małą wiorstę od Broniewa odległej.

Broniew, niewielki, ale ładny folwarczek, należał od miesiący kilku do p. Borowieckiej.

Stęskniona Ewa ze łzami radości rzuciła się w objęcia witającej ich na perronie matki. Z jaką dumą pokazywała jej prześliczne białoróżowe bobo w batysty i koronki przybrane! Dziecina uśmiechała się rozkosznie do bladej, cierpiącej twarzy babki, w słoneczne strojąc ją blaski.

P. Borowiecka rozplakała się z radości.

— Jedźmy, jedźmy, dzieci najdroższe. Zmęczeni jesteście podróżą... Henryś ledwo oczki otwiera.

Chłopy czekają nas niecierpliwie. Mania Dworzecka bawi też u nas od dni kilkunastu, i serdecznie się cieszy z twego przyjazdu, Ewanu.

— Jako? Więc Mania jest u ciebie, mateczko?

Ach, jakże się cieszę!..

Marya Dworzecka była daleką krewną Ewy i koleżanką. Dawniej lubiły się serdecznie.

W kilkanaście minut potem konie przed gankiem stanęły.

Wesołe okrzyki powitania rozległy się zewsząd. Mały Henryś przechodził z rąk do rąk. Wszyscy byli weseli rozpromienieni.

— Patrz mamó, jak Ewa ślicznie wygląda — mówił Adam z zachwytem wpatrując się w siostrę. — Daleko teraz ładniejsza. A jak urosła! Nie, nie wiedziałem, że mężatki rosną...

Roześmieli się wszyscy — matka spojrzała na Ewę; wypiękniała nad podziw. Macierzyństwo, nowym urokiem tę śliczną opromienilo postać.

Rysy wyszlachetniały jeszcze, a ciężkie fizyczne cierpienia i słodka za nie nagroda, wyidealizowały tę piękną istotę.

Wysmukła jak lilia i jak ona biała i przejrzysta, piękna Ewa podnosiła teraz, ciemną koroną warkoczy ustrojoną główkę z godnością nieopisaną; na blade-różowych jej ustach igrał uśmiech tkliwości i słodyczy.

Ewa w atmosferze rodzinnej miłości, pod opiekuneczmi skrzydłami matki uczuła się spokojniejszą i prawie szczęśliwą. Zapomniała o wszystkim, co przeżyła; rana krwawiąca się w sercu zaczęła się zablizniać, słodka i wybacząca, tuliła znów głowę do piersi Witolda; błękitne oczy zdawały się prosić: — Kochaj mnie, mój jedyny, a zapomnę krzywd jakieś mi wyrządził.

Witold, nie chcąc, aby p. Borowiecka prawdę odgadła, krępował się i niezmierną czułością żonę otaczać zaczął. Młodziutka, niedoświadczona a szlachetna kobieta, uwieryła odrazu tym kłamliwym pozorom, odzyskała dawną wesołość, biegła po całym domu, nucąc jak skowronek, i czuła się bezgranicznie szczęśliwą.

Pewnego wieczora cały ten gmach szczęścia nanowem wzniesiony runął ze szczerem, by biedną kobietę zdruzgotać nazawsze.

Ewa w sypialnym pokoju karmiła Henrysia, gdy w tem, w sąsiednim salonie, usłyszała głos Witolda. — Szukają mnie pewno, pomyślała — ale się nie odezwę, bo rozbudzili by mi Henrysia.

Spojrzała we drzwi naprzeciw będące, i w wiążącym nawprost lustrze ujrzała Witolda, jak spoglądał z czułością na Maryę i usta do pocałunku wyciągał.

Marya była bardzo ładną i zalotną. Prawdopodobnie sprzyjali sobie nawzajem nie od dzisiaj, potrafili jednak uspić uwagę Ewy.

Marya broniła się niby, odpychała go, szeptała coś z prośbą gorącą, ale upór jej roznamiętniał go więcej jeszcze. Skrępował wreszcie ręce dziewczyny w silnym uścisku i długim pocałunkiem zamknął broniące się usta. Ewa skamieniała.

Niezdolna poruszyć się nawet, zapomniawszy, że dziecię trzyma u piersi, że gwałtowne wzruszenie matki zabić może to jedyne już jej szczęście na ziemi. Tymczasem słowa Witolda dochodziły do

njej wyraźnie i gryzącym jadem wpijały się w serce.

— Kocham cię, Maryo — mówił gorąco. — Kocham bez granic!

Od pierwszej chwili gdyś mi się ukazała na ganku, w ramach zieleni, z tą świetlaną koroną włosów na głowie, z tą cudnie piękną twarzyczką, uczulem, że serce moje nazawsze do ciebie należy.

Ach te pęta, któremi dobrowolnie się skulem!

Czemuż nie przeczułem, że istnieje na świecie czarodziejka, której urok nieprzeparty pochłonie mnie całego.

Powiedz, Maryo, czy to tylko złudzenie rozigranej wyobraźni, czy też w oczach twoich czytam rzeczywiście odbłask uczucia dla mnie?..

Ty mnie kochasz... walczysz mężnie, bronisz się.. ale siłą mej gorącej miłości zwalczona, słabniesz... i przyjść musi chwila, gdy omdlała główkę na mej piersi złożysz.

— Powiedz mi to ukochana!

Ewa nie dosłyszała już odpowiedzi Maryi. Krew całą siłą uderzyła jej do głowy, napłynęła do serca.. wszystko wokoło niej szumiało i hucało dziwnie. Gdy potem towarzystwo całe zebrało się przy herbacie, uderzyła wszystkich okropna bladeść Ewy i ciemnymi kołami okrażone oczy.

— Czy słabą jesteś najdroższa?—zapytał tkliwie Witold, ujmując zimną jak lód jej rękę.

Powiedz co ci dolega szczęście moje!

Wszak wiesz jak mi drogą jesteś.

Radabym ból każdy od ciebie oddalić.

Ewa nie usunęła ręki, nie odwróciła się od męża z pogardą.

Uśmiechnęła się tylko pełnym rezygnacyi uśmiechem i zapewniła wszystkich, że zupełnie dobrze się czuje.

Wielka siła moralna mieszkała w tej delikatnej, wątłej naporóż istocie.

Nikt nie odgadł, co się w tem biednym sercu dzieje... jakim nadludzkim wysiłkiem boleść swą pokonała.

Od dnia tego mały Henryś słabować zaczął. Różowa dotąd twarzyczka coraz przezrocystsza się stawała.

Stracił sen i apetyt, biedna matka całe dnie i noce spędzała przy nim. Wezwany lekarz znalazł nieokreślone jeszcze wyraźnie cierpienie, nie uspokoił jednak Ewy, która z okropną trwożą chorobę dziecka śledziła.

Witold tymczasem, cały swój czas Maryi poświęcał.

Niewiele się troszczył chorobą dziecka, uważając ją za nic nieznaczącą. Namiętność coraz więcej brała górę nad tym charakterem lekkomyślnym, przez wolę nieopanowanym.

Dziecię miało się coraz gorzej. Żółta jak wosk twarzyczka przykre sprawiała wrażenie.

Kwiliło żałośnie, patrząc na matkę, jakby się skarżyło, że cierpienie jego odgadnąć nie potrafi. Coś straszego działo się z Ewą: nie jadła, nie spała—i nie płakała też. Myśl jej była jedną do Boga modlitwą, by skarb ten najdroższy nieszczęśliwej matce zostawił.

Rozkoszny wieczór letni kładł szare cienie na zieloną murawę ogrodu, zamykał drżące kwiatów kielichy, gdy nad kołyską dziecięcia stanął anioł śmierci. Dotknął zlekka tylko bladego czoła i niewinną duszyczkę uniósł w przestworza.

Pochylona postać Ewy, gdy ostatnie ukochanej dziecię przyjęła tchnienie, wyprostowała się nagle. Bez łzy, bez jęku, wiotka jej postać przesuwała się mileżąca między wszystkimi, nakazującym gestem powstrzymując tych, co ze współczuciem śpieszyć do niej chcieli, i do ogrodu wyszła. I szła tak długo, długo, grabową aleją, cały ogród przecinając, kędy tak niedawno jeszcze wózek z ukochanem dzieciętkiem posuwała sama i słuchała rozkosznego szezebiotu jedynaka swego.

Czyż to być może, aby ten głos drogi nie obił się już nigdy o uszy biednej matki, aby te maleńkie rączyny nie opłoty jej szyi uściskiem?... Nie. To niepodobna! To być nie może! Coś zmaćciło się jej w mózgu. Jakaś mgła krwawa przysłoniła źrenice, biegła coraz szybciej, jasna, światłem księżycyca posrebrzona tafla jeziora, powstrzy-

mała jej kroki. Stała. Gładka jak lustro, spokojna toń, zaczęła działać na nią kojąco. Zaparkowała się w nią uparcie. Spokój, jaki się tam odbijał, magnetyczną siłą pociągał ją ku sobie. Och, gdyby mogła tam spocząć, gdyby ta zimna woda ochłodziła żar, co jej skronie pali. Leżałaby sobie cichutko uśpiona a wietrzyk poruszałby nad jej głową wodnych lilii kielichy i szemrał cicho: tu spi snem ukojenia, biedne zdruzgotane serce, co w ciągu roku pochowało wszelką szczęścia nadzieję...

— Henryś—szeptały blade usta —nie potrzebuje już matki. Piosenka jej do snu kołysać go nie będzie. On teraz w górze między aniołkami a ona sama, sama z przerażającą pustką w duszy, z ogromem boleści, co jej serce szarpie. Ona musi odpocząć; czuje się tak zmęczoną, a Henrysia niema. Nikt już potrzebować jej nie będzie. I coraz dalej posuwały się drobne nóżki po piaszczystym brzegu, coraz bliżej wabiła ją toń przezroczysta. Kilka kroków jeszcze, chłodne fale obejmą ją swoim uściskiem. Ale serce matki przeczuło tę ciężką chwilę: mimo oporu Ewy pobięła za nią, by zbolala córkę przy sercu swoim utulić. Jej to ręce właśnie, z żelazną siłą pochwyciły nieszczęśliwą i ocaliły od śmierci.

Kilka lat minęło.

Rzeka toczy leniwie modre fale, mnóstwo różnobarwnego kwiecia stroi łąkę w słowicznym gaju: wszystko jak wówczas, gdy na wonnej z kwiatów pościeli spoczywała tu piękna, świeża jak wiosna dziewczyna. I oto teraz w takiesame gorące letnie popołudnie, na tejsamej łączce, wysmukła postać kobiety na trawie spoczywa a błękitne oczy gonia białe chmurki jak stado baranków lecące po niebie.

Blada postać leniwym ruchem trzyma w ręku książkę, usta w pół cicho nuca słowa poematu przeczytanego przed chwilą:

Więc już nie myślę teraz, tylko o tem:  
Gdzie znaleźć miejsce na smutek łaskawe.  
Miejsce gdzie żaden duch nie trąci lotem  
O moje serce rozdarte i krwawe.

Od strony rzeki zbliżały się szybko kroki mężczyzny, ze strzelbą przewieszoną przez ramię z polowania powracającego.

Szedł wolno, zamyślony głęboko. Wyraz łagodnego, cichego smutku odbijał się w jego twarzy.

O czem myślał ten poważny, wysoki mężczyzna, którego inteligentne, niskie czoło ciemny teraz włos zarastał, a blada twarz i piwne oczy uderzająco przypominają Stefana.

Tak, to tensam Stefan, ale jakież zmieniony! Cierpienie ręką ukochanej zadane wyłobilo mu na czole bruzd kilka, usta rzadko do wesołego składają się uśmiechu.

Wyniosła postać tchnie poważnym wdziękiem i spokojem.

Tensam, a jakież inny!

Jak ta silna postać, ten układ surowy i wyraz niezłomnej energii w oczach przypominają nam fantastyczny ideał szesnastoletniej wyobraźni Ewuni.

Byłoby to wspomnienie, co kierując jego krokami na ową pamiętną przywiodło go łączkę? Wtem wzrok jego dostrzegł spoczywającą na trawie postać, serce gwałtownym bólem zadrgało.

Od kilku tygodni przebywali już razem w Jodłowie i często bardzo spojrzenie Stefana ścigało tę beznadziejnie smutną postać przesuującą się apatycznie w ożywionem kółku bawiących w Jodłowie osób.

Jemu nie wolno nawet było pocieszyć jej, nie wolno było widzieć jak smętne jej oczy z bez-

dennym bólem zwracały się ku niemu, bo Witold jakkolwiek porzucił żonę od lat trzech blisko, istniał jednak, jak istniało prawo społeczne, które miał do niej.

Więc i dziś Stefan zwalczył w sobie gwałtowne pragnienie utulenia serdecznym słowem biedaczki.

Długo, długo wpatrywał się w nieruchomie spoczywającą na trawie postać i coraz większy ogarniał go smutek.

— Ananke — szepnął — wreszcie cicho odwracając oczy od smutnej postaci i zamyślony głęboko podążył ku domowi.

— Ananke — szepnęła również blada kobieta i wielkie łzy, jak krople rosy, spadły na błękitne korony rosnących obok niezapominajek.

I ona nie zapomni, nie zapomni nigdy, jak pomyłka Ewuni, złamała całe życie Ewie.

## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż rada państwa potwierdziła zakaz wyrobu zapalek z ogniami bengalskimi z powodu, że nie służą one potrzebom koniecznej a przedstawiają niebezpieczeństwo wzniesienia pożarów.

— Ministerium Dóbr Państwa zorganizowało w Petersburgu komisyję, mająca wyświecić, jakie gałęzie przemysłu miejskiego mogą dostarczyć wyrobów swoich do zakładów rządowych, oraz ziemstwu i zarządom miejskim? Ministerium spraw wewnętrznych wysadziło komisyję dla przejrzenia praw, przysługujących w Państwie ludności ubogiej.

— Pomnik Kopernika na Krakowskim-Przedmieściu zostanie odnowiony kosztem miasta, na co przeznaczono 5.600 rs. Następnie założonym będzie w koło pomnika skwer ozdobny.

— Wystawa etnograficzna, mieszcząca się na Krakowskim-Przedmieściu w kamienicy N-r 17, gdzie zajmuje sal pięć, powstała ze zbiorów niedgdyś muzeum etnograficznego zgromadzonych staraniem p. p. Leopolda Janikowskiego i Jastrzębowski. Zawiera ona kilka tysięcy przedmiotów, między którymi mieszczą się zbiory afrykańskie p. Jankowskiego, oraz okazy azyatyckie: japońskie, chińskie, bucharskie, turkiestańskie, perskie, jako to: broń, ozdoby, sprzęty domowe. Oprócz tego zamówione zostały i mają nadejść wkrótce ciekawsze okazy przemysłu Azji, Afryki, Australii, a okazy nasze znajdują się już w liczbie znacznej: zbiory p. Jagmina, kolekcya etnograficzna p. Zembrowskiej z Jastrzębia. Jaj malowanych, zwanych pospolicie pisankami, a które służą u wiejskiego ludu naszego za ozdobę wielkanocnego święcenia, mieści się tu trzy tysiące. Ogółem etnografia nasza przedstawia się zajmując; modele chat wieśniaczych z okolic lubelskich i kieleckich, żarna, warsztaty tkackie, tkaniny domowe, zwaue samodzielnem, zabawki dziecinne i pewne przedmioty ozdobne, mogące się już zwać zbytkiem wieśniaczym, są bardzo zajmujące, a wyziera tu z nich i sztuka wiejska. Na jednej z pisanek artysta wiejski z Tomaszowa wykonał portrecik Kraszewskiego i w ogóle wystawa, której poświęcenia dopełnił ksiądz Zygmunt Chełmicki, przedstawia się zajmując, a nawet pod względem ludoznawstwa nauuczając. Spodziewaną jest siekiera kamienna p. Stolemana, kolekcya ubiorów ludowych p. Zygmunta Wolskiego. Wystawa otwarta

jest codziennie od godziny 10 ej z rana, aż do zmierzchu. Opłata za wejście bardzo umiarkowana i przystępna dla klasz wszystkich. Znany podróżnik Rogoziński, którego zbiory, obejmujące przeszło dwa tysiące okazów, mieszczą się w Krakowie w muzeum Baranieckiego, ofiarował dla muzeum etnograficznego przywieziony ze sobą zbiór drobnej fauny z Fernando Po. Są to dobrze zakonserwowane w alkoholu skorpioń, jaszczurki i inne płazy, rozmaite gatunki węzów i pajaków.

— Wystawa nasion, urządzona przez komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, łączy w sobie i wystawę różnych roślin wehodzących w skład gospodarstwa wiejskiego, oraz wystawę domowego przemysłu wiejskiego, narzędzi rolniczych, nabiółu i wszelkiego rodzaju wytworów kobiecego gospodarstwa domowego. Wystawców i wystawczyń jest razem 77, a dodać należy, że prawie każdy z wystawców dostarczył szegółowego opisu jakości uprawy i ogólnej produkcji danego płodu. Między sędziami mieszczą się w oddziale produktów nabiółowych i spożywczych pp. Ówierczakiewiczowa Lucyna, Małkowska Alexandra, Szumlańska Paulina.

— Konkurs urządzony przez śpiewacze towarzystwo „Lutnia“ na kompozycya muzyczną dla męskiego chóru do ballady Or Ot'a: „Śpiewak zwycięzca“, spełznął na niczem, ponieważ sędziowie nie przyznali żadnej nagrody, ani nawet wzmianki zaszczytnej żadnemu z trzech nadesłanych utworów.

— Odbyła się w mieście naszym rzadka uroczystość. Biskup Ruszkiewicz dopełnił w kościele Ś-go Krzyża, w lewej jego nawie chrztu dzwonu, przeznaczonego do jednej z parafii prowincjonalnej. Dzwon otrzymał nazwę „Stanisław“, wyryty na nim napis brzmi: „Sprawiony kosztem parafian za czasów księdza Stanisława Świdkiewicza.“

— Komitet budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie powierzył Rygierowi nadzór nad pracą odlewania w Rzymie figur bronzowych i obrabiania w Medyolanie kamieni na piedestał. Obecnie pozostaje już tylko odlanie w bronzie kolosalnej postaci Mickiewicza, oraz grupy czwartej, dodatkowej „Nauka.“ Materiał na części architektoniczne pomnika, granit, jest piękny i trwały, a wybrany przez Rygiera przedsiębiorca robót granitowych, Innocenti Piovano, wywiązał się bardzo dobrze z zadania swego, tak co do konstrukcyi piedestału, jak i drobniejszych szegółów powierzonej mu pracy.

— Uczta jubileuszowa na cześć profesora Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Leopolda Löflera odbyło się bardzo uroczyste, do stołu zasiadło blisko 70 osób, nietylko z samej dziedziny sztuki.

— D. 1-go Grudnia otwartym zostanie w Krakowie Salon Artystyczny, którego zadaniem będzie pośrednictwo zagraniczne w sprzedaży dzieł artystów krakowskich.

— W okolicach Cieszyna, w miejscowości górzystej, zwanej Wisłą, gdzie też wypływa źródło tej rzeki, znany pracownik na polu etnografii, p. H., wybudował wśród górzystego obszaru szereg domków, przeznaczonych dla malarzy, a także i na kolonię klimatyczną.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Pocziwiec Duval**, przez Joannę Mairret, przekład z francuzkiego.

Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Trzy przeznaczenia**, przez Mariona Crawford, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Postacie niewieście Tassa (Jerozolima wyzwolona), przez Helenę Ceysynger. — Ze smutnych piosnek, przez Selima. — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Dziecko i rodzina. — Korrespondencya zagraniczna. — Pomyłka Ewuni, szkic powieściowy przez Wandę Grot-Bęczkowską (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

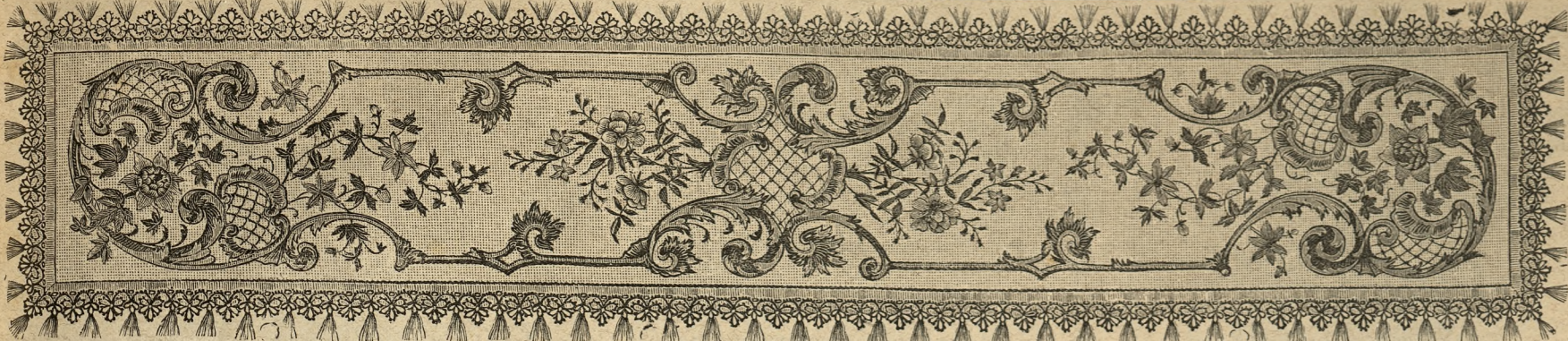
**Dodatek obejmuje:** Arkusz 4 **Pocziwiec Duval** przez Joannę Mairret. Przekład z francuzkiego i Arkusz 1 **Trzy przeznaczenia** przez Mariona Crawford. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. — 29 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 11 Ноябрь 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.





Nr 1. Serwetka podłużna (malowidło ścieg płaski i „frivolité“) do ryc. Nr 2. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 78).

PRZEGLĄD MÓD.

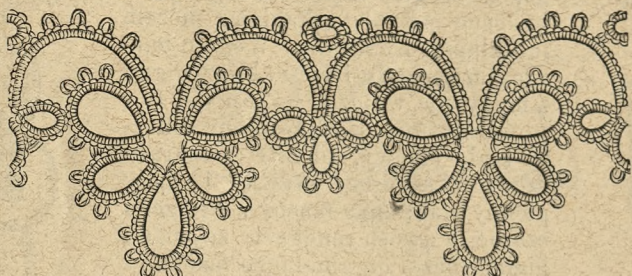
Ogólny przegląd mód na sezon zimowy. — Kapelusze wogóle. — Modele pani Marczewskiej. — Kapelusze filcowe z fabryki pana Weigt'a, zwane fularem filcowym. — Nowy magazyn strojów, obok szkoły kroju pani Mercère.

Ze zmianą pory roku, chcąc nie chcąc, należy i w tualietach pewne zmiany zaprowadzić, czy to sprawiając rzeczy nowe, czy też przerabiając i odświeżając przeszłoroczne, bo jakkolwiek dla szerszego ogółu nigdy nie głosujemy za ustawiczną zmianą i chwytaniem bez zastanowienia pierwszej lepszej fantazyi krótko trwałej i kosztownej, wszelako obowiązkowo wskazać musimy, co nowego moda wytworzyła na sezon zimowy, jakie kolory i jakie tkaniny powołała do życia i jakie formy zapanaowały nad innymi.

Otóż mówiliśmy już, że materiały jedwabne „changeant“ znalazły współzawodnictwo w materiałach wełnianych, ztąd wielka ilość szewiotów, diagonal, épinglé, repsów i popeliny w szersze lub węższe żeberka, a nawet aksamitów w tym nowym rodzaju. Aksamit jednakże „changeant“ z powodu zbyt wysokiej ceny, używanym tylko bywa jako ozdoba, zastępowana nieraz nierównie tańszym a efektownym welwetem „changeant.“ Krepony wełniane w pasy aksamitne i broché na tle w rodzaju sukna, materiały włochate w kraty, wigonie i wiele innych, przedstawiają wielki wybór w rozlicznych i pięknych kolorach. Sukno, wigonie i materiały angielskie, przeważnie używane są na tualety spacerowe.

Sukniom odpasowanym nadano nowy charakter, przez połączenie ze szlakami z czarnej mory. Szlak ten stanowi dolne przybranie spódnicy i ozdobę stanika. Najmodniejszym w obecnej chwili kolorem jest zielony w rozmaitych odcieniach: Dalej: brązowy, granatowy, oraz heliotrop. Kolor czarny trochę zaniedbany powraca do swojej wziętości.

Pomimo dwóch najnowszych fasonów spódnicy, o których pisaliśmy już, spódnice obcisłe, krajane w kliny tak przypadły damom do gustu, że utrzymują się ciągle, pomimo usiłowań modistek paryżkich do wprowadzenia zmiany.



Nr 2. Koronka do ozdoby serwetek, bielizny, sukien i t. p. (robota „frivolité“) do ryc. Nr 1.



Nr 3. Szlak do ozdoby dzieciennych fartuszków i t. p. (robota krzyż.).



Nr 4. Suknia z materiału jedwabnego „broché“ aksamitu i koronki. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 5. Suknia z sukna i materiału jedwabnego. (Opis pierw. str. tabl.).

Powtarzamy jeszcze raz, że tren konieczny przy sukniach wieczorowych strojnych, stanowczo odrzucono przy spacerowych i codziennych. Staniki w rodzaju bluzek i kaftaników, wszelkiego rodzaju paski coraz większej nabywają wziętości. Cięższe tylko suknie z materiałów angielskich mają staniki tak zwane „tailor made.“ Suknie sukienne z takiemiż kaftanikami, krótszemi lub dłuższemi, stanowią przez swoją prostotę, bardzo wykwinny kostium na ulicę. Zdobia je wszelkiego rodzaju futerkiem.

Do sukien balowych używane będą pantofelki z mory odpowiedniego koloru do sukni, obok tych pantofelki z czarnej cienkiej skórki lub brązowej, haftowane złotem i srebrem.

Nowością jesiennego i zimowego sezonu są rękawy aksamitne, tak przy sukniach z materiałów gładkich, jak i w deseń a nawet przy okryciach, czyli przy długich paletotach, zawsze cieszących się powodzeniem. Rękawy takie wykonane są z pluszu czy aksamitu czarnego, lub też z aksamitu „changeant“, zastosowanego choćby jednym ze swoich odcieni do koloru materiału.

Suknie czarne jedwabne odzyskują swoją wziętość, zdobia je dżetem lub koronką, rękawy zaś, jeżeli suknia ma być strojniesz, lub stosownie do gustu efektowniesz, wykonane często bywają z materiału jedwabnego odmiennego koloru, jak np. „vieux rose“, „vieux bleu“ i t. p.

Ciemne jedwabne suknie zdobia koronką czarną, jasne zaś białą.

Kapelusze zaczynają nieco podwyższać i zdobiają po największej części piórami strusimi i fantazyjnymi. Jako kapelusze codzienne najużywawsze i najpraktyczniejsze są filcowe w różnorodnych kolorach, które wyrabia fabryka p. Weigt'a, ulica Królewska 1. Pan Weigt nie zmienił miejsca i ulicy, a wzięwszy sklep obok dotychczasowego, urządził salon oddzielny dla dam, gdzie pierwszy raz widziałam czapeczki i toczki filcowe krajowego wyrobu, mogące być zwinięte jak chustka batystowa, a rozwinięte powracają do właściwego fasonu, file taki zowią „fularem.“ Kapelusze strojne, zawsze miniaturowej wielkości toną w przeróżnych fantazyjach, których ani określić, ani opisać nie podobna, pomimo, iż nie bardzo się różnią zmianą fasonu, kapotki są zawsze małe, chociaż nie tak przesadnie małe jak były, a tembardziej nie tak ma-



Nr 6. Sukienka ozdobiona haftem dla panienci od 2—3 lat.  
(Kroj i desen pierw str. tabl. Nr III, fig. 20—28).

le, jak niektóre przesadzone kobiety pozwalają sobie nosić, kładąc na głowę literalnie girlandkę z kokardką w środku, czy to z dżetu, czy z kwiatów, chociaż z tych ostatnich w zimie trudno, bo je w zupełności zastępują ptaki, leżące na rondach, lub pióra. Oglądaliśmy śliczne kapelusze w magazynie pani Marczewskiej, Czy sta 6, i musimy przyznać, że w ogromnym wyborze jaki tam znaleźliśmy, prawie żaden nie był do odrzucenia. Okrągłe filcowe są wszystkie z rondami średniej wielkości, prawie wszystkie fantazyjnie wywinięte, niektóre z jednej strony mają duże rondo, z drugiej zupełnie w górę odwrócone przypięte ptakiem, piórem lub kłamrą metalową. Wogóle bardzo dużo metalu i dżetu, który nigdy z mody nie wyjdzie, bo jest jak złoto, zdobi kapelusze tegoroczne. Śliczny biały filcowy, zdobiły pomarańczowe aksamitne wstążki i mały piękny ptak; inne fasony z wierzchu czarne, o dwóch rondkach ze spodu białe, toczki oryginalnego fasonu, a wszystko filcowe, przybrane czarnym żółtym i pomarańczowym aksamitem. Kapotka „empire“ fijołkowa aksamitna, z przodu kłamra stalowa przepinała dwa takie pióra. Inna znowu ze wstążki „empire“, cała przerabiana złotem i srebrem w różnych kolorach miała z przodu dwa

rogi przepięte brylantem, nosiła nazwę „Mełista“, śliczna, cała dżetowa, ułożona na ponsowym aksamicie. Jeszcze jedna była z aksamitu „mousse“, przybrana torsadą metalową z perłami—prawdziwy oryginal fantazyjny „Viot“. Kto nie może płacić drogiej modeli, niech zajrzy do magazynu kroju i sukien pani Mercère, Nowy-Swiat 20, gdzie spotka przesłizne kapotki fantazyjne z ostatnich modeli, umiejętną ręką wykonane. Aby nie przedłużać naszego przeglądu nie opisujemy je szczegółowo, choć na to zasługują. L. C.

### Suknia haftowana dla panienci od 2—3 lat.

Rycina Nr 6. (Kr. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—28).

Suknia z białego wełnianego materiału. Skrając z materiału i z podszywki fig. 20, z podszywki zaś fig. 21 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Fig. 22 dwie części i karczki przybrać haftem pomiędzy liniami szlaczkami haftowanymi podług ryc. Nr 27, kwiatki jedwabiem koloru ponsowego a listki oliwkowego, brzegi zaś pokryć haftem rybiej łuszeki jedwabiem ponsowym. Po przyszyciu do karczka fig. 21 i 22, pokryć takowe częścią materiału 72 cent. szer. i dwoma częściami po 36 cent. szer. a 14 c. wys., pozostawiając podług ryc. główkę 1½ cent. szeroki. Dolny brzeg ułożyć w fałdy i połączyć z podszewką, przyczem wykonać szew od 37 do 39. Wszyć stojący kołnierzyk. Rękawy wykonać podług 23 i 24, z materiału złożonego wzdłuż środka, zmarszczyć od \* do \* i wszyć w sta-



Nr 14—16. Suknia spacerowa z materiału wełnianego w kraty i z aksamitu, oraz kapelusz i mufka.



Nr 12. Kapotka dla młodej osoby.



Nr 8. Suknia wizytowa z repsu „ottoman“ i aksamitu. (Op. pierw. str. tabl.)

nik po wykończeniu. Spółbiona haftem podług ryc. 25, ozdobiony haftem pod-

### Suknia dla panienci od 2—3 lat.

Rycina Nr 7. (Kroj i desen pierw. str. tabl.)

Suknia z szewiotu. Skrajając fig. 50—57 z materiału i z podszywki, trafiając na kropkę, przyłożyć fig. 51—54. Po przyszyciu i ozdobieniu pletnia, przetrzyść podkładem i podszywki. Rękawy zaopatrzyć ozdobie mankiem i przyszyć do gu stanika przyszyć zaopatrzoną podszewką z białą pletnią. Pasek wy-



Nr 10 i 11. Suknia wizytowa dla młodej osoby.

e. wys. a 150 c. szer., ozdobiona podszewką z mufa i zarszona. Pasek podług fig. 28.

### Suknia spacerowa dla panienci od 2—3 lat.

Rycina Nr 17 i 18. (Kroj i desen pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 50—57).

tego, zaopatrzoną podszewką. nieniem wystającego konturu przednie części z materiału, przyszyć do materiału i połączyć podkładem i podszewką wzdłuż linii do prawej przedniej części (na lewej przetrzyść podkładem i podszywki). Kołnierzyk zaopatrzyć ozdobie pletnią i przyszyć do podszywki zmarszczyć od \* do \* do gu stanika przyszyć zaopatrzoną podszewką z białą pletnią. Pasek wy-



Nr 13. Kapelusz z filcu ozdobiony piórami.

### Suknia wizytowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 10 i 11.

Suknia z sukna koloru jasno popielatego, z falbaną wysoką, przyszytą w kształcie festonów z aksamitu koloru miedzianego, po nad którą szlak pasmanteryjny. Stanik krótki bluzkowy, zapinany w tylnej części. Karczki, rękawy, stojący kołnierzyk z aksamitu przybrany pasmanteryą i pasek „empire“ również z aksamitu koloru miedzianego.

Ryc. Nr 11 przedstawia mniej więcej ten sam rodzaj kroju, wykonany z materiału jedwabnego koloru zielonego. Stanik bluzkowy, przybrany krepą jedwabną różową; pasek „empire“ tegoż koloru i rodzaj krótkiego kaftanika z koronki lub z materiału różowego haftowanego. Rękawy bufiaste do łokcia.

### Kapelusz ozdobiony piórami i wstążką.

Rycina Nr 12.

Kapelusz w kształcie kapotki z małą wysoką główką, wykonany sposobem plecionym z pasków sukna koloru brązowego i pletni niebieskiej jedwabnej. Sznuerek pasmanteryjny z jedwabiu niebieskiego i brązowego otacza całość w okrągławe podłużne zęby. Ubranie stanowią pióra strusie koloru niebieskiego i wstążka aksamitna koloru brązowego 6 c. szer. Wstążki do wiązania repsowe koloru niebieskiego.

### Kapelusz z filcu.

Rycina Nr 13.

Kapelusz okrągły z filcu koloru granatowego. Przybranie stanowią pióra strusie koloru granatowego cieniowane. Wstążka jedwabna w kraty 11 c. szerokości wykończy całość.

### Suknia spacerowa z materiału wełnianego w kraty i aksamitu, oraz kapelusz i mufka.

Rycina Nr 14—16.

Suknia formą „princesse“, zapinana z boku, z karczkiem z tyłu i z przodu z niebieskiego jedwabnego materiału, u wcięcia lekko ułożona w fałdy. Wyłogi z aksamitu granatowego. Z tegoż aksamitu kłapki na kieszeniach, dolna część rękawów, oraz stojący kołnierzyk. Mufka wykonana z materiału szkockiego. Kapelusz w kształcie kapotki z aksamitu koloru granatowego, przybrany wstążką aksamitną tegoż koloru.

### Suknia spacerowa ozdobiona pasmanteryą i marabutem, oraz kapelusz.

Rycina Nr 17 i 18.

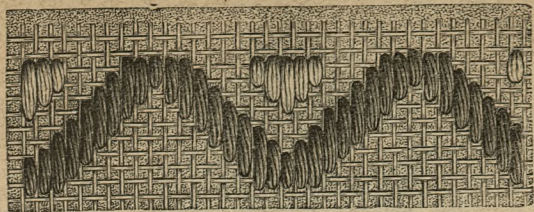
Suknia z sukna koloru granatowego, formą „princesse“, zapinana z boku, przybrana pasmanteryą czarną i tegoż koloru marabutem. Rękawy podług ryc. Kapelusz wielki okrągły z filcu, przybrany dwoma dużymi piórami strusimi koloru granatowego w cień i na przodzie kokardą z wstążki aksamitnej.



Nr 7. Suknia dla chłopczyka od 2—3 lat.  
(Kroj odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 50—57).



Nr 17 i 18. Suknia spacerowa ozdobiona pasmanteryą, oraz kapelusz.

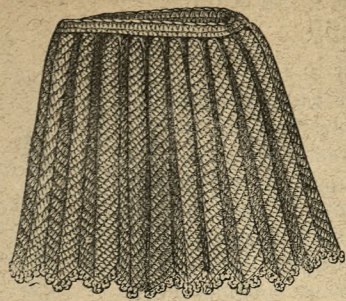


Nr 19. Część szlaka do ryc. Nr 29 (wielkość oryg.).

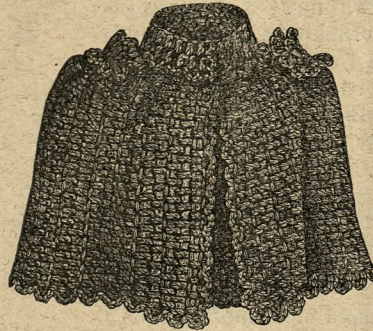
## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

## Racuszki kartoflane.

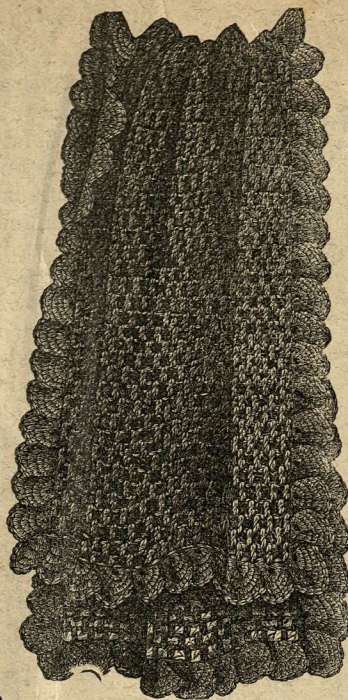
Utrzeć pół garnca surowych kartofli, przecisnąć przez rzadkie płótno, gdy się płyn ustoi zlać wodę, a uformowany krochmal pomieszać z gąszczem z kartofli, dołożyć dwa lub trzy żółtka, białka ubić na pianę, wymieszać razem, posolić, popieprzyć, i na gorący szmalec lub fryturę kłaść łyżką cienkie pla-



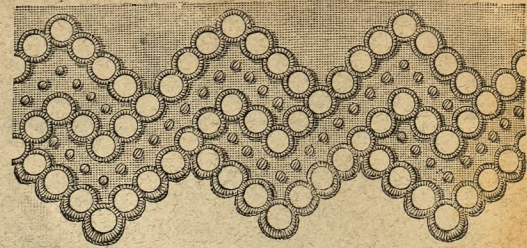
Nr 21. Spódnica dla małej panienci (robota szydełkowa).



Nr 22. Pelerynka wykonana szydełkiem.



Nr 23. Szalik wykonany szydełkiem.



Nr 20. Szlak do ozdoby bielizny (haft biały).

misanci handlowi. Na wszelkie inne pytania znajdzie pani detalizne odpowiedzi w „Kursie gospodarstwa“ wydanie 2-gie, przez autorkę „365 obiadów.“

Prenumerata pisma „Wisła“ wynosi rs. 6 Wychodzi kwartalnie.

*Odp. p. S. Ment... na Kaukazie.*

O prasowaniu pisaliśmy w roku bieżącym w jednej z pogawędek gospodarczych. Najlepsze jednak odpowiedzi na wszelkie swoje pytania znajdzie pani w „Kursie gospo-



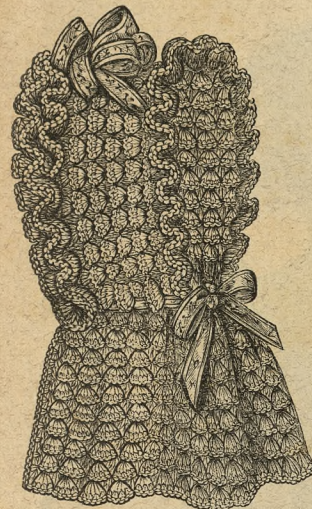
Nr 24. Pelerynka z koronki wstążki.



Nr 25. Serweta na stół z szlakiem haftowanym (do ryc. Nr 19 i 29). Deseń i kolory pierw. str. tabl. Nr VI



Nr 27 i 28. Suknia z kaftanikiem dla panienci od 9—11 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 42—49).



Nr 26. Kapturek dla małej panienci wykonany szydełkiem.

sterki, które na patelni łyżką rozplaszczyc, aby były cienkie, podsmarzyć na obie strony i podać suche na gorącym półmisku. Można je pocukryć jedząc. Proporcya na 6 osób.

## Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z jarzyn.
2. Paszteciki w kościach.
3. Groszek zielony z grzankami.
4. Kuropatwy.
5. Suflet z jabłek.

## Korespondencya.

*Odp. pani C. C.*

Naturalnie, że tylko dobre gatunki kur wykarmionych mogą znaleźć zbyt zagranicą, którym to handlem trudnią się ko-



Nr 29. Część szlaka na serwetę Nr 25 (zmniejszony) do ryc. Nr 19. (Deseń i kolory pierw. str. tabl. Nr VI).

darstwa“ dla kobiet, przez autorkę „365 Obiadów“ wydanie 2; na inne zaś w „Poradniku porządku tejże autorki.

*Odp. pani R. K.*

Rysunek przenosi się w taki sposób: kładzie się świeży materyał, na to niebieską kalkę, na kalkę haft i obwodzi się ołówkiem deseń, a tym sposobem cały rysunek deseniui przejdzie na materyał.

## Uwaga.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.